

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



24190

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 24190



BC KSK / 24190

MAURYCY MAETERLINCK.

MONNA VANNA

przekład R. C.

AGLAWENA I SELIZETA

przekład A. C.

~~2441~~

~~4 p. 368~~



WARSZAWA

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego
Pasaż Miodowa-Długa № 23-

—
1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Ноября 1902 г

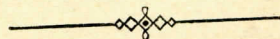


24190

8-2

P I S M A
MAURYCEGO
MAETELRINCKA.

MONNA VANNA. — AGLAWENA I SELIZETA.



WARSZAWA.
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego
Pasaż Miodowa-Długa № 23.
—
1903.

AKT PIERWSZY.

Sala w pałacu Gwidona Colonna.

SCENA I.

GWIDO, BORSO i TORELLO rozmawiają przy oknie, z którego widać okolice Pizy.

GWIDO. Doprowadzeni jesteśmy do takiej tateczności, że Signoria *) zdecydowała się nareszcie wyznać mi całą prawdę, którą tak długo przed nami tajiła. Obiedwie armie, wysłane nam na pomoc przez Wenecję, osaczone są przez wojska florenckie, jedna w Bibiennie, druga w Elei. Przejścia w Vernii, w Chiusie i w Montalone, Arezzo i wszystkie wyjścia Cazanyni są w rękach nieprzyjacielskich. Jesteśmy odcięci od świata i nic nas nie obroni przed zaciekłością Florencyi, nieubłaganej, gdy nie potrzebuje drzeć o własną skórę. Żołnierze

*) Signoria (czytaj sinioria) rada czterdziestu, rozstrzygająca główne sprawy państwa.

nasi i lud nie wiedzą jeszcze o tych klęskach, ale trwożne wieści zaczynają już krążyć wśród nich. Co robią, gdy dowiedzą się prawdy? Ich złość i nienawiść spadnie na nas i na signorię. Te trzy miesiące oblężenia, bezowocnego obleżenia, głodu i strasznych męczarni, jakich nie przechodziło dotychczas żadne jeszcze miasto, doprowadziły ich do rozpacz. Jedyna nadzieja, zniewalająca wojsko do posłuszeństwa i do tajemnia rozgoryczenia, wkrótce pierzchnie a wtedy nienawiść wybuchnie z całą siłą, nieprzyjaciół wroczy do miasta i nastanie koniec Pizy.

BORSO. Moi ludzie nic już nie mają..! Ani jednej strzały, ani jednej kuli. Można przeszkukać wszystkie beczki w podziemiach, nie znajdzie się w nich ani jedna uncya prochu.

TORELLO. Onegdaj wyrzuciłem ostatni granat w kierunku baterii San-Antonio i wieży Stampaccia; Stradiotom pozostały tylko jeszcze miecze i nie chcą oni już wychodzić na wały.

BORSO. Spójrz, oto, na wyłom przebity dzisiejszego ranka przez armaty Prinziwally w tym murze, bronionym przez naszych weneckich sojuszników. Ma on jakie pięćdziesiąt sążni, może przezeń przejść swobodnie całe stado owiec. Niepodobniestwem jest utrzymać się tam. I rzymska piechota

Słowianie i Albańczycy oświadczyli mi, że opuszczą nas, jeżeli akt kapitulacji nie będzie podpisany jeszcze dzisiejszego wieczoru.

GWIDO. Już poraz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu dni signioria posyła swoich najstarszych członków, aby omówić warunki kapitulacji. Żaden z nich nie powrócił.

TORELLO. Prinziwally nie może darować nam zabicia jednego z jego oficerów, Antonia Reno, którego tłum rozwścieczony rozszarpał na ulicach Pizy. Florencyja skorzystała z tego, aby uznać nas za wyjętych z pod prawa; chce postąpić z nami jak z barbarzyńcami.

GWIDO. Posłałem mojego ojca, aby wytłómaczył i usprawiedliwił postępek rozszalałego tłumu, którego nie byliśmy w stanie panować. Jest to święty zakładnik, ale ten nie powrócił..

BORSO. Już od tygodnia przeszło, miasto ✓ warte jest ze wszystkich stron, wały rozłone, armaty milczą. Dlaczego Prinziwally nie przypuszcza szturm? Czy obawia zasadzki? czy brak mu odwagi, czyli też jeszcze otrzymał od Florencyi tajemne jakieś wskazówki?

GWIDO. Instrukcje Florencyi są zawsze tajemne, ale zamiary jej są jasne. Piza jest zbyt długo wierną sojuszniczką Wenecyi

Ui przykład jej przejmuję lękiem inne małe miasta Toskanii, prosty ztąd wniosek, że rzeczpospolita Pizańska musi zginąć... Powoli, działając podstępnie i umiejętnie, Florencyja wznieciła ogień wojny, podburzając przeciwnika do niezwykłych okrucieństw i zdrad, ażeby naprzód już usprawiedliwić przyszłą zemstę. Mam pewne powody do przypuszczenia, że emisaryusze jej podsyczuli naszych wieśniaków przeciw oficerowi Reno. Nie bez przyczyny też wysłała ona przeciwko nam najokrutniejszego ze swoich najemników, dzikiego Prinzivalla, uwięzionego tak smutną sławą podczas rzezi Piacenzy. Przez pomyłkę—jak mówią—kazał on powyrzynać tam wszystkich uzbrojonych mężczyzn a pięć tysięcy wolnych kobiet sprzedał do niewoli.

BORSO. Oskarżenie to niezupełnie jest sprawiedliwe. I wyrznięcie i sprzedaż do niewoli były właściwie dziełem emisaryuszów Florencyi a nie Prinzivalla. Ja sam nie widziałem go nigdy, ale jeden z moich braci znał go osobiście. Jest on z pochodzenia barbarzyńcą; ojciec jego należał do plemienia Basków, czy też Bretończyków i był właścicielem sklepu jubilerskiego w Wenecyi. Że Prinzivallo jest niskiego rodu, to nie ulega kwestyi, nie jest on jednak tak dziki, jak przypuszczają. Jest to człowiek niebezpiecz-

ny, gwałtowny, uparty, namiętny, ale wierny i uczciwy! Oddałbym mu swój miecz bez obawy.

GWIDO. Nie oddawaj go lepiej, dopóki możesz się jeszcze bronić. Przekonamy się wkrótce, kto z nas ma słuszość. A tymczasem spróbujmy ostatniego środka, jaki pozostaje temu, kto nie chce dać się zdusić bez najmniejszego oporu. Przedewszystkiem należy wyznać całą prawdę żołnierzom, mieszczanom i wieśniakom, ukrytym w mieście. Niech wiedzą, że Florencyja wcale nie proponuje nam kapitulacyi. Niech wiedzą, że niema tu mowy o rozumnej wojnie, w której wielkie armie walczą od wschodu do zachodu słońca i zostawiają na polu bitwy trzech ranionych i nie o ludzkim oblężeniu, podczas którego zwycięzca staje się wkrótce gościem i najserdeczniejszym przyjaciелеm zwyciężonego. To wojna bezlitosna, gdzie rozstrzyga się kwestya życia i śmierci, gdzie nasze żony, nasze dzieci...

S C E N A II.

CIŻ i MARCO.

Wchodzi Marco. Gwido zauważywszy go, biegnie naprzeciw i ściska go.

GWIDO. Ojczel!... Jakiż to szczęśliwy traf wobec wszystkich naszych klęsk, jaki cud

wraca cię nam w chwili, gdy już straciłem prawie nadzieję? Czy nie jesteś raniony? Ledwie chodzisz! Dręczono cię? Udało ci się ocalić? Co oni ci zrobili?

MARCO. Nic. Nic, dzięki Bogu. Nie są wcale takimi barbarzyńcami. Przyjęli mnie jak zaszczytnego gościa. Prinzivallo czytał moje utwory, mówił ze mną o trzech dyalogach Platona, które odnalazłem i przetłómaczyłem. Wlokę nogi z trudnością dlatego, że jestem stary, że wracam z dalekiej drogi. Czy wiesz, kogo spotkałem w namiocie Prinzivallo?

GWIDO. Domyślam się. Nieubłaganych komisarzy florenckich.

MARCO. Tak i ich także, przynajmniej jednego z nich, widziałem tylko jednego. Ale pierwszą osobą, którą tam poznałem, był Marcello Fieino, czcigodny mistrz, który odkrył Platona. Malcello Fieino — to dusza Platona, powrócona nanowo światu!... Oddałbym był dziesięć lat życia, aby go zobaczyć, zanim pójdę tam, dokąd pójdziemy wszyscy. Przywitaliśmy się, jak dwaj bracia, którzy nakoniec odnaleźli się po długiej rozłące. Mówiliśmy o Arystotelesie, o Homerze. Znalazł on w oliwkowym gaju, na brzegu rzeki Arno, niedaleko od obozu, zakopane w piasku popiersie bogini tak przedziwnie piękne, że zapomniałbyś o wojnie,

gdybyś je zobaczył. Zaczęliśmy kopać dalej; Marcello znalazł kawał ręki a ja dwie dłonie o kształtach tak delikatnych i wytwornych, jakgdyby stworzone były tylko do rodzenia uśmiechów, do skrapiania rosą i pieszczenia jutrzeńki. Cienkie paluszki jednej złożone były w ten sposób, jakgdyby dotykały zlekka łona, druga ujmowała jeszcze rączkę zwierciadła.

GWIDO. Ojczy, nie zapominaj, że naród cały umiera z głodu i że nie w głowie mu smukłe paluszki i brązowe popiersia.

MARCO. To było popiersie marmurowe.

GWIDO. Niech i tak będzie. Pomówmy lepiej o trzydziestu tysiącach istnień, które zgubić może najmniejsza nieostrożność, chwila choćby zwłoki a które może ocalić jedno słowo, we właściwej porze wyrzeczone, jedna wieść dobra. Poszedłeś do nich nie w celu oglądania popiersi i kawałków rąk. Cóż ci oni powiedzieli? Co chce z nami zrobić Florencya i Prinzivallo? Powiedz, nie zwlekaj! Na co czekają? Czy nie słyszysz jak ci nieszczęśliwi krzyczą tam pod oknami? Wyrrywają jedni drugim z rąk trawę, która rośnie pomiędzy kamieniami.

MARCO. Prawda. A ja zupełnie zapomniałem, że aryujecie teraz, kiedy rodzi się nowa wiosna, kiedy niebiosą tchną szczęściem jak błyszcząca czara, którą bogini powietrza

podaje bogom przestworza, kiedy ziemia jest tak piękna i tak pełna miłości dla ludzi. Ale wy macie swoje upodobania a ja zbyt długo mówiłem o moich. Tak, masz słuszość, mam wiadomość, której powinienem był oddawna ci już udzielić. Trzydzieści tysięcy istnień można ocalić a dokonać tego może jedna słaba istota. Ale wzamian za to zdobędzie ona wzniosłą i czystą sławę wyższą i czystszej, niż sława wojenna. Oto jak się rzecz ma. Niech was jednak nie ogarnia na pierwsze moje słowa gniew i oburzenie, nie odcinajcie sobie możliwości odwrotu, nie składajcie nieopatrnie tych przysiąg, które krępują rozum, gdy rozum nakazuje zmienić postanowienie.

GWIDO. (oddalając gestem swoich oficerów). Oddalcie się!

MARCO. Nie, pozostaniecie... Za chwilę rozstrzygnie się nasz wspólny los... Pragnąłbym naodwrot, żeby sala wypełniona była przez wszystkie ofiary, jakie możemy ocalić, ażeby nieszczęśliwi, którym przyniesiemy wybawienie, słyszeli tu w tej sali zbawczą wieść, jestem bowiem zwiastunem ocalenia, jeżeli tylko rozum wasz przyjmie je w tej postaci. Dziesięć tysięcy rozumów nie potrafi przeważyć jednego błędu, którego ciężar odczuwam tembardziej, że ja sam...

GWIDO. Ojczy, proszę cię, skończmy z temi zagadkami. Cóż to za warunek, który wymaga tak długiego omawiania? Możesz nam wszystko powiedzieć, dożyliśmy takich czasów, kiedy nie już nie jest w stanie zadziwić.

MARCO. A więc widziałem Prinzivalla i mówiłem z nim. Jak dziwnie fałszywie ludzie kreślą postać tego, kogo się lękają!... Szedłem, niby nowy Priam, do namiotu Achillea. Myślałem, że znajdę barbarzyńcę, zarozumiałca i nieociesanego, jakim go rysują, szaleńca, wiecznie ociekającego krwią i pływającego się w winie, z przeblaskami geniusza, niewiedomo z kąd zjawiającymi się na polu bitwy... Sądziłem, że ujrzę demona wojny, ślepego, dzikiego, namiętnego, okrutnego, podstępного i żadnego sławy.

GWIDO. Prinzivallo jest właśnie taki, może tylko nie podstępny.

BORSO. To prawda, jest on bardzo uczciwy, pomimo, że służy Florencji; dwa razy dał nam już dowody swojej uczciwości.

MARCO. Znalazłem człowieka, który pochylił przedemną głowę, jak kochający uczeń pochyła głowę przed nauczycielem. Jest wykształcony, wymowny, pełen rozumu i miłości wiedzy. Umie słuchać i głęboko odczuwa piękno. Ma mądry uśmiech, jest miękki, wspaniałomyślny i nie lubi wojny.

Stara się zgłębić istotę rzeczy i dotrzeć do źródła namiętności. Umie patrzeć we własne serce, pełen jest uczciwości i szczerości i niechętnie służy rzeczypospolitej. Traf życiowy a może i los wtrąciły mu oręż do ręki i zagnały na pole walki i sławy wojennej, którego nienawidzi i które radby porzucić... Ale, zanim to uczyni, pragnie urzeczywistnić jedno swoje marzenie, fatalne marzenie... Takie marzenia miewają niekiedy ludzie, zrodzeni widocznie pod niebezpieczną gwiazdą wielkiej i niedostępnej miłości...

GWIDO. Ojczy, nie zapominaj, jak ciężką jest każda chwila oczekiwania dla ludzi umierających z głodu! Przestańmy się zajmować wszystkimi temi cnotami, które nas nie dotyczą i wysłuchajmy nakoniec przyobiecanej nam zbawczej wieści.

MARCO. Istotnie, może zanadto zwlekam i to zupełnie niepotrzebnie, jakkolwiek wieść ta jest okrutną właśnie dla dwóch najdroższych mi istot...

GWIDO. Swoją część przyjmuję, ale na kogo pada druga?

MARCO. Słuchajcie... Gdy szedłem tutaj, zdawało mi się to trudnem i dziwnem, ale z drugiej strony taka cudowna możliwość ocalenia...

GWIDO. Mów, ojczy...

MARCO. Florencyja postanowiła zgubić nas. Wojenny decemwirat uznał to za konieczne i signoria potwierdziła jego dekret. Postanowienie jest nieodwołalne. Ale ostrożna i obłudna Florencyja nie chce dźwigać wobec świata, który cywilizuje, odpowiedzialności za zbyt barbarzyńskie zwycięstwo. Będzie ona twierdziła, że Piza odrzuciła wspaniałomyślne warunki kapitulacji, łaskawie jej ofiarowane. Miasto zostanie wzięte szturmem. Wpuszczą do Pizy hiszpańskich i germańskich najemników, dla których, gdy chodzi o przemoc, gwałty, grabież, podpalania i rzezie, zbyt wiele są specjalne rozporządzenia. Wystarczy zupełnie, żeby nie czuli nad sobą kija zwierzchnika a zwierzchnicy ich dnia tego będą udawali, że nie mogą sobie z nimi poradzić. Taki los nas czeka. A miasto czerwonej lilii *) wyrazi nam swoje ubolewanie, z powodu popełnionych nikczemności o ile przejdą one najśmielsze jego oczekiwania i przypisze je wyłącznie brakowi karności najemnego wojska. Rozpuści je z pozornem oburzeniem, gdy tylko będzie mogło obejść się bez nich już po wyłączeniu nas.

GWIDO. Poznaję Florencyę.

MARCO. Takie są ustne i sekretne rozpo-

*) Herb Florencyi.

rządzenia, dane Prinzivallovi przez rzeszopolitą. Od tygodnia już podszezuwają go do wykonania tego ostatecznego kroku. Do tej chwili Prinzivallo zwlekał pod najrozmaitszemi pretekstami. Z drugiej zaś strony przejmował on listy, w których komisarze, śledzący każdy krok jego, oskarżają go przed signorią o zdradę. Gdy tylko Piza legnie w gruzach i wojna będzie ukończona, czeka go we Florencyi sąd, tortury i stracenie, jak to ma miejsce z wieloma generałami, którzy wydają się Florencyi niebezpiecznymi. Nie tajny mu jest, czekający go los.

GWIDO. Dobrze. Jakaż jest jego propozycja?

MARCO. Ręczy on za pewną część żołnierzy, których sam wynajął a w każdym razie zupełnie pewien jest gwardyi, złożonej z setki ludzi i stanowiącej rdzeń wojska, najzupełniej mu oddanej. Przyrzeka wprowadzić do Pizy wszystkich tych, którzy zechcą pójść za nim i bronić jej przeciwko wojsku, które porzuci.

GWIDO. Ludzi mamy dość i tacy niebezpieczni sojusznicy nie są nam potrzebni. Niech nam lepiej dadzą proch, kule i zapasy spożywcze.

MARCO. Dobrze. Przewidział on, że nie przyjmiecie propozycji, która wyda wam

się podejrzaną, przyrzeka więc wprowadzić do miasta obóz, złożony z trzechset wozów, prowiantu i rozmaitej zbroi.

GWIDO. W jaki sposób skuteczni to?

MARCO. Nie wiem, ale to pewne, że zrobi wszystko, co zechce. Pomimo obecności florenckich komisarzy, jest wszechwładnym panem armii, dopóki signoria nie odwoła go. A nie odważy się ona odwołać go w przeddzień bitwy, nie pozbawi go naczelnej władzy nad wojskiem, które ma już prawie zdobyć w rękę i które święcie wierzy w niego. Zmuszona jest czekać na odpowiedniejszą chwilę.

GWIDO. Przypuśćmy! Rozumiem, że ratuje on nas, chcąc uratować siebie i naprzód już się zemścić. Ale mógłby to uczynić w świetniejszy i bardziej zręczny sposób. Jaką korzyść upatruje dla siebie w jątrzeniu swoich wrogów. Czego żąda w zamian?

MARCO. Mówiłem już wam: Prinzivallo jest mądry, rozważny i wspaniałomyślny. Czy znajdzie się jednak człowiek mądry, któryby nie miał szalonego jakiegoś kaprysu, czy znajdzie się człowiek dobry, nie żywiący potwornej jakiejś idei? Na prawicy stoi rozum, współczucie, sprawiedliwość; na lewicy wprost przeciwnie: pragnienia, namiętności i kto wie, może nawet szal, który tak często nas ogarnia! Sam mu ulegałem, mo-

że on zawładnąć wami i mógłby znów mną zawładnąć. Taka jest już natura ludzka... Klęska, przechodząca ludzkie siły, czyha na nas. A ja, który dobrze pojmowałem, że nie będzie ona w stosunku do nieszczęścia, które ją wywoła, dałem obietnicę jeszcze bardziej szaloną, aniżeli to szalone złe. Szalona ta obietnica bezrozumnie spełniona będzie przez posła rozsądku, jako który pragnąłbym stanąć przed wami... Przyrzekłem powrócić do nieprzyjacielskiego obozu, jeżeli odrzucicie moją propozycję. Co czeka mnie tam? Niewątpliwie tortury i śmierć. A jednak wrócę. Daremnie powtarzam sobie, że to szaleństwo, które przystrajam w szkarłat, aby stworzyć sobie iluzję, spełnię to szaleństwo, którego nie mogę nie potępić... nie mam też sił do kierowania się rozsądkiem... Ale wciąż jeszcze nie powiedziałem wam... Ach, nie wiem co czynić! Dobieram słów, obmyślam zdania, byleby choć trochę odwlec stanowczy moment... Ale może niesłuszny jest mój brak wiary w was!... A więc jeszcze dzisiejszego wieczora przysłał on ten olbrzymi obóz do Pizy, wszystkie te zapasy, które oglądałem na własne oczy, wozy pełne ziarna, wina, owoców, jarzyn, stada wołów i baranów, tyle wszystkiego, że można miesiącami żywić cały naród, tyle beczek prochu, tyle ołowiu, że Pi-

za łatwo zwycięży Florencję i wzmoże swoją potęgę a wszystko to stanie w mieście naszym dzisiaj jeszcze, jeżeli wzamian za to pošlecie Prinzivallowi na jedną noc—bo wraz z pierwszym promieniem jutrzeńki odeśle wam ją z powrotem, ale żąda, aby na znak pokory i uległości przyszła sama jedna i obnażona, okryta tylko swoim płaszczem...

GWIDO. Ale kto? Kto ma przyjść?

MARCO. Giovanna.

GWIDO. Kto?!... Żona moja... Vanna?

MARCO. Tak, twoja Giovanna... powiedziałem nareszcie!

GWIDO. Ale dlaczego właśnie moja Giovanna, jeżeli już Prinzivallo stawia podobne żądania? Wszak są tysiące kobiet...

MARCO. Giovanna jest najpiękniejsza i on kocha ją.

GWIDO. On kocha ją? Gdzież ją widział? Nie zna jej przecież.

MARCO. Widział, ale nie chciał powiedzieć gdzie; zna ją, ale nie mówił od jak dawna?

GWIDO. A ona, czy także go widziała? Gdzie ją spotykał?

MARCO. Giovanna nigdy go nie widziała, w każdym razie nic nie pamięta.

GWIDO. Zkąd wiesz o tem, ojcze?

MARCO. Ona sama mi powiedziała.

GWIDO. Kiedy?

MARCO. Zanim do ciebie przyszedłem.

M. Maeterlinck. Dramaty.

GWIDO. Jaki?! Powiedziałeś jej, ojcze?!

MARCO. O wszystkim.

GWIDO. O wszystkim?! O tym haniebnym targu!... Śmiałeś?...

MARCO. Tak.

GWIDO. I cóż ona na to?

MARCO. Nic nie odpowiedziała, zbladła i wyszła, nie rzekłszy słowa.

GWIDO. Tak, to było najlepiej... Mogłaby rzucić się na ciebie, plunąć ci w twarz lub też paść ci do nóg... ale tak najlepiej... Zbladła i wyszła!... Tak postąpiłby anioł!... Słowa były zbyt ciche i my też nic więcej nie będziemy mówili... Stańmy znow na wałach i jeśli wypadnie umrzeć, umrzemy, nie skalawszy błotem naszej klęski.

MARCO. Synu mój, rozumiem cię, próba jest równie ciężką dla mnie jak i dla ciebie, ale cios już wymierzony. Zaczekajmy, dopóki rozsądek nie wskaże właściwego miejsca naszej rozpacz i naszym obowiązkom.

GWIDO. Wobec równie haniebnej propozycji jeden jest tylko obowiązek, namysł potęguje tylko całą jej ohydę.

MARCO. Pomyśl jednak, czy masz prawo skazywać na zagładę cały naród za cenę odwleczenia na kilka smutnych godzin nieuniknionego nieszczęścia?... Gdy Piza zostanie wzięta, Vanna wpadnie w każdym razie w szpony zwycięzcy.

GWIDO. Nie!... To już moja rzecz.

MARCO. Niech i tak będzie! Ale tysiące istnień!... Czy w samej rzeczy nie przyznasz, że to wiele, zbyt wiele, niesprawiedliwie może... Gdyby od tego wyboru zależało tylko twoje szczęście, wybrałbyś śmierć i zrozumiałbym cię... jakkolwiek ja sam, który stoję już nad grobem i w życiu swoim widziałem dużo ludzi a więc i dużo nieszczęść, znajduję, że nierozsądnie jest przekładać straszną, zimną śmierć z jej wiecznem milczeniem, nad najsrozsze nawet katusze fizyczne lub moralne... Ale tu idzie o tysiące istnień, o towarzyszków broni, o kobiety, o dzieci. Uczyń, czego żąda od ciebie ten szaleniec a to co wydaje ci się potwornością, wyda się bohaterstwem tym, którym uratujesz życie i którzy będą rozpatrywali ten postępek z punktu widzenia spokojniejszego, sprawiedliwszego i bardziej ludzkiego. Wierz mi, że żadna zapłata nie może być zbyt wielką za ocalenie życia; wszystkie cnoty, wszelkie ideały ludzkie, wszystko, co zwie się honorem, wiernością, i t. p. wszystko to wydaje się dziecianną igraszką w porównaniu z życiem. Chcesz wyjść czystym z okrutnej próby, chcesz być bohaterem, ale mylisz się, sądząc, że szczytem bohaterstwa może być jedynie śmierć. Najbardziej bohaterskim czynem jest zawsze czyn najtru-

dniejszy do dokonania a umrzeć łatwiej jest nieraz, niż żyć.

GWIDO. -I ty jesteś moim ojcem?

MARCO. Tak—i dumny jestem z tego. Jeśli występuję dzisiaj przeciwko tobie, to walczę z samym sobą i mniej kochałbym cię, gdybyś uległ odrazu.

GWIDO. Tak, jesteś moim ojcem i dałeś tego dowód i ty wszak wybierasz śmierć. Nie przyjmuję hańbiącego warunku, wrócisz więc do nieprzyjacielskiego obozu, do tego, co ci zgoutuje Florencyja.

MARCO. Synu mój, nie idzie tu tylko o mnie, o niedołężnego starca, którego życie dobiega kresu i którego los wszystkim jest obojętny... Dlatego też właśnie uważam, że nie opłaci mi się walczyć z zakorzenionym we mnie nierozsądkiem i użyć tylu wysiłków na postępek zgodny z wyższą mądrością... Nie wiem, w imię czego tam pójdę... w mojem starem ciele żyje zbyt młoda dusza, należą do pokolenia dalekiego, niestety, od epoki panowania rozumu, ale żałuję, że moce przeszłości nie pozwalają mi na złamanie nierozsądnej obietnicy.

GWIDO. I ja pójdę za twoim przykładem

MARCO. Co chcesz przez to powiedzieć?

GWIDO. Że postąpię jak ty, ojcze, że pozostanę wiernym tym mocom przeszłości, które wydają ci się nierozsądnymi, ale które,

na szczęście, nie utraciły jeszcze władzy nad nami.

MARCO. Nademną tracą one władzę wtedy, gdy chodzi o innych. I gdyby dla wprowadzenia światła do twojej duszy, potrzebna była nędzna ofiara ze starczego mojego słowa, wyrzekam się dotrzymania mojej obietnicy i jakkolwiek postąpiłbyś, nie pójdę tam...

GWIDO. Dość, ojcze. Mogą mi się niebaczenie wyrwać słowa, jakich syn nie powinien użyć nawet w stosunku do ojca, który błądzi...

MARCO. Mów, mój synu, wyrzecz te słowa, które oburzenie dyktuje twojemu sercu... Przyjmę je jako dowód prawdziwej rozpaczy. Miłość moja dla ciebie niezależną jest od słów, jakich mógłbyś użyć. Ale rzucając na mnie klątwę, którą gniew wydzieła z twego serca, pozwól, aby miejsce jej zajęło rozumne i wspaniałomyślne współczucie.

GWIDO. Dość. Nie chcę słuchać dłużej. Pomyśl i wyobraź sobie to, do zrobienia czego chcesz mnie zmusić. W tej chwili nie mnie ale tobie, ojcze, odmówił posłuszeństwa rozum, wysoki i szlachetny rozum, obawa śmierci zaćmiła twój umysł. A ja patrzę na śmierć z mniejszą trwogą; pamiętne mi są lekcye mężstwa, które mi dawałeś, zanim

jeszcze lata i bezpłodne mądrości książkowe zachwiałą twoją odwagę. Jesteśmy sami w tej sali, nikt nie będzie świadkiem twojej słabości, moi dwaj oficerowie święcie dochowają tajemnicy, której, niestety, daleko ztąd nie uniesiemy. Niech będzie ona pogrzebaną w sercach naszych a teraz... pomówmy o ostatniej bitwie.

MARCO. Nie, synu mój, nie może to być tak łatwo pogrzebane. Lata i bezowocne, jak mówisz, prace nauczyły mnie, że nie wolno w imię żadnego celu, poświęcać chociażby jedno ludzkie życie. Jeżeli sądzisz, że brak mi już tego męztwa, które sławicie, to posiadam wzamian inne, mniej wybitne, być może i mniej opiewane przez ludzi, ponieważ wyrządza ono mniej szkody a ludzie pochylają czoła przed tem, co skazuje ich na cierpienia. Męztwo to dopomoże mi do spełnienia ostatniego mego obowiązku.

GWIDO. Jakiż to obowiązek?

MARCO. Dokończę tego, co tak nieszczęśliwie rozpocząłem. Byłeś jednym z sędziów, ale nie jedynym. Wszyscy, których życie lub śmierć rozstrzyga się w tej chwili, mają prawo znać swój los, wiedzieć, od czego zależy ich ocalenie.

GWIDO. Niezupełnie rozumiem, mam przynajmniej nadzieję, że niezupełnie zrozumiałem, co chcesz powiedzieć?

MARCO. Chcę powiedzieć, że po wyjściu z tej sali obwieszczę całemu narodowi warunek, postawiony przez Prinzivalła i odrzucony przez ciebie.

GWIDO. Wspaniale. Teraz zrozumiałem. Żałuję, że zbyt cenna rozmowa zaprowadziła nas tak daleko i żałuję, że twój obłęd każe mi zapomnieć o szacunku, należnym twojemu wiekowi, ale obowiązkiem syna jest bronić ojca nawet przeciw niemu samemu, gdy ojciec popełnia błąd. Prócz tego, dopóki Piza istnieje, ja jestem jej panem, strażnikiem jej honoru... Borso i Torello, powierzam wam mego ojca, będziecie go pilnowali, dopóki nie rozproszą się mroki nocy, jaka zawisła nad jego rozumem... Nie tutaj nie zaszło... Nikt się o niczem nie dowie. Ojcie, przebaczam ci. Ty zaś przebaczysz mi wtedy, gdy ostatnia chwila wskrzesi w umyśle twoim wspomnienia tych dni, w których uczyłeś mnie być człowiekiem, nie znającym trwogi i świadomej słabości.

MARCO. Wybaczam ci, synu mój, jeszcze zanim nadeszła ostatnia moja godzina; postąpiłbym tak samo jak ty. Możesz pozbać wolności tylko osobę moją, tajemnica moja nie lęka się już więzów. Nie zagłuszysz już mego głosu.

GWIDO. Co to ma znaczyć?

MARCO. To znaczy, że signoria obraduje w tej chwili nad propozycją Prinzivalła.

GWIDO. Signorya? Któż jej powiedział?

MARCO. Ja sam, zanim się jeszcze z tobą widziałem.

GWIDO. Nie, to niemożliwe. To być nie może, aby obawa śmierci i spustoszenia, która starość zrodziła w twojem sercu, mogła doprowadzić cię do takiego szału! Złożyłoby jedyne moje szczęście, całe moje ukochanie całą nieskalaną czystość mego i jej życia w cudze ręce, które będą je z zimną krwią warzyć i mierzyć, jak ważą w sklepach swoich sól i masło!... Nie mogę jeszcze temu uwierzyć... Uwierzę wtedy dopiero, kiedy przekonam się na własne oczy. A gdy przekonam się, spojrzę na ciebie, na ciebie mój nieszczęsny ojciec! Kochałem cię, zdraćtwo mi się, że znam cię, starałem się być podobnym do ciebie a teraz spojrzę na ciebie z większym jeszcze przerażeniem, z takim samym wstrętem jak na podłego i wstrętnego potwora, który wtrącił nas w całe to błoto!...

MARCO. Masz słuszość, mój synu, źle znalazłem mnie i moja w tem własna wina. Gdy nadeszła starość, nie umiałem podzielić się z tobą tem, czego nauczyła mnie ona o życiu, o miłości, o szczęściu i o nieszczęściu człowieka... Często żyjemy w ten sposób obok ludzi nam najbliższych i nie mówimy im tego, co przedewszystkiem należałoby

im powiedzieć. Ludzie kroczą po drodze życia, ukołysani przez przeszłość, sądząc, że wszystko zmienia się wraz z nimi a gdy budzą się, dotknięci straszny jakims ciosem, spostrzegają ze zdumieniem, jak dalecy są sobie wzajemni... Gdybym był dawniej spowiadał się tobie ze zmian, jakie zachodziły w mojem sercu, z pustych myśli, ulatujących zeń i z właściwych pojęć, jakie zajmowały ich miejsce, nie stałbym dzisiaj przed tobą, jak nędzny, obcy ci starzec, którego gotów jesteś znienawidzić.

GWIDO. Szczęśliwy jesteś, że tak późno cię poznałem... Co się zaś tyczy tamtego—tem gorzej—wiem naprzód, jaka będzie decyzja signoryi. Zbyt łatwo jest ocalić się w ten sposób kosztem jednego człowieka; takiej pokusie nie oparłoby się szlachetniejsze nawet męstwo od męstwa tych mieszczan, dbających tylko o całość swoich kramików. Ale nie mają oni prawa żądać tego odemnie! Nikt nie może odemnie tego wymagać. Oddałem im swoją krew, spokój swoich noc, wszystkie trudy, wszystkie męki podczas długotrwałego obłączenia. To chyba wystarczy i to już wszystko, co dać mogę—reszta należy do mnie. Nie usłucham nikogo i przypomnę im, że jestem dotychczas jeszcze ich zwierzchnikiem. Mam trzystu mo-

ich stradyotów, słuchają oni tylko mojego głosu i nie pójdą za podłym przykładem.

MARCO. Mylisz się, mój synu. Pizańska signoria i mieszczanie, którymi pogardzasz nie wiedząc nawet jeszcze, co postanowią, dali w chwili rozpaczki piękny przykład szlachetności i siły ducha. Nie chcieli się zgodzić, aby ocalenie ich okupione było wydartą kobiecie ofiarą jej czystości i jej miłości. W chwili, gdy opuszczałem ich, posłali po Vannę, ażeby złożyć w jej ręce losy miasta.

GWIDO. Jakto!... Oni śmieli!... Śmieli w mojej nieobecności powtórzyć jej bezwstydną słowa tego szalonego satyra? Moja Vanna... której oblicze tak jest dziewiczo wrażliwe, że jedno śmielsze spojrzenie oblewa je falą krwi gorącej, której wstydlivość silniej jeszcze uwydatnia promiennosc jej urody!... Moja Vanna!... wobec tych starców z lubieżnymi oczyma, wobec tych handlarzy o bladych twarzach i obłudnych uśmiechach, którzy korzyli się przed nią jak przed świętą. I oni mają jej powiedzieć: „Idź tam sama jedna, naga, jak tego żąda“! Oddać mu to ciało, którego nie ośmieliło się musnąć żadne pożądanie, tak zdało się czystym i dziewiczym, które ja, mąż jej, śmiałem obnażać, błagając swoje dłonie, zaklinając swoje oczy, aby pozostały czystymi i nie

skalanemi, tak lękałem się obrazić ją dreszczem rozkoszy... I w tej samej chwili, kiedy myślę o tem wszystkim, oni mówią do niej... Oni, ci silni i szlachetni... nie zmuszają jej do postąpienia wbrew woli... Jakżeby postąpili, gdybym ja tam był. Potrzebna im jest tylko jej zgoda... A moje przyzwolenie, kto pyta mnie o nie?

MARCO. Ja, mój synu. I jeśli mnie nie udało się go uzyskać, przyjdą i oni z kolei...

GWIDO. Nie mają po co przychodzić. Vanna odpowiedziała za nas oboje.

MARCO. Spodziewam się, jeżeli ty tylko zgodzisz się na jej odpowiedź!

GWIDO. Jej odpowiedź? Więc wątpisz jeszcze, ojcze?... Znasz ją przecież, widywałeś ją codziennie od tej chwili, gdy obsypana kwieciem, opromieniona uśmiechem jedynej swojej miłości, przestąpiła próg tej samej sali, gdzie teraz nią handlujesz, gdzie ośmieliłeś się podać w wątpliwość jedyną odpowiedź, jaką może dać kobieta ojcu, zbłąkanemu do tego stopnia, że gotów jest pragnąć...

MARCO. Synu mój, każdy widzi w innych to, co znajduje w samym sobie i każdy pojmuje innych inaczej, nie wyżej jednak poziomu własnego sumienia.

GWIDO. Tak... Dlatego też widocznie źle cię znałem. Ale jeśli oczom moim sądzono

przejrzeć dwukrotnie, przekonać się o dwu tak strasznych błędach, wolałbym, o Boże, zamknąć je na wieki.

MARCO. Ujrzałyby one, synu mój, więcej światła. Mówię tak, ponieważ dostrzegłem w Giovannie siłę, której ty nie widzisz. Nie wątpię o jej odpowiedzi.

GWIDO. Jeżeli ty, ojcze, nie wątpisz, to i ja nie wątpię, schylam z góry głowę przed jej postanowieniem, przyjmuję je bez wahania, ślepo i wiernie. Jeżeli nie będzie ono zgodne z mojem, znaczyć to będzie, że oboje byliśmy wzajemnie co do siebie w błędzie od pierwszej godziny aż do dzisiejszego dnia. Znaczy to, że miłość nasza była największym kłamstwem, które runie za jednym zamachem; znaczy, że wszystko to, co w niej ubóstwiałem, żyło tylko tutaj, w tej biednej, nazbyt ufającej głowie, która stoi teraz u wrót obłędu, w tem nieszczęsnem sercu, które znało tylko jedno, jedyne szczęście i kochało tylko miraż.

SCENA III.

CIŻ i VANNA.

Słychać krzyk tłumu, powtarzającego imię Vanny. Drzwi w głębi otwierają się i do sali wchodzi Vanna sama, trupio blada; we drzwiach, obawiając się wejść, tłoczą się mężczyźni i kobiety.

GWIDO (ujrzawszy Vannę, biegnie ku niej, ujmując ją za ręce, gładzi jej twarz i obejmuje ją z gorączkową pieśczęcią). Moja Vanno!... Co oni zrobili?!... Nie, nie powtarzaj mi ich słów. Pozwól mi spojrzeć na twoje czoło, zajrzeć w głąb twoich oczu. Ach, wszystko pozostało czystem i jasnym, jak woda, w której kąpią się aniołowie! Nie udało im się skalać mego ukochania i wszystkie ich słowa padały, jak kamienie, ciskane w niebo i nie mącece ani na chwilę jasności lazurów! Gdy ujrzeli te oczy, nie śmieli już o nic prosić, pewien jestem, że nie żądali odpowiedzi. Ich jasność starczyła im za odpowiedź. Stanełś, niby jezioro miłości i światła—jako zaporą pomiędzy ich myślami i twojemi... A teraz spójrz, zbliż się do mnie... Oto człowiek, którego nazywam ojcem... Widzisz, schyla on głowę okrytą siwym włosem... Należy mu przebaczyć... Jest stary i zbłąkany... Trzeba mieć litość nad nim, musisz się przemódz... Nawet twoje oczy nie mogą mu przywrócić rozumu, tak dalekim jest już od nas. Nie zna nas; nasza miłość była dla ślepej jego starości tem, czem jest deszcz kwietniowy dla kreadowej skały. Ani jeden z jej promieni nie musnął go, nie schwytał w locie ani jednego z naszych pocałunków... Myśli on, że my oboje kochamy ta samo jak ci, którzy nie

umieją kochać. Tylko słowa potrafi on rozumieć, potrzebną mu jest twoja odpowiedź... Daj mu więc tę odpowiedź.

VANNA (zbliżając się do Marca). Ojcie, pójdę dzisiaj wieczorem.

MARCO (całując ją w czoło). Wiedziałem, córko moja...

GWIDO. Co?... Co mu powiedziałaś?!... Czy mówisz do niego, czy do mnie?

VANNA. I do ciebie także, Gwidonie... Muszę uleść...

GWIDO. Ale komu? To właśnie... Nie rozumiem nic...

VANNA. Pójdę wieczorem do obozu Prinzi-valla.

GWIDO. I oddasz mu się, jak tego żąda?

VANNA. Tak.

GWIDO. I zabijesz jego i siebie? Albo zabijesz tylko jego? Nie przyszło mi to na myśl... Powiedz... prawda? tak?... wtedy wszystko zrozumieć!...

VANNA. Nie mogę go zabić... zdobyliby w takim razie szturmem miasto...

GWIDO. Jakto? i to ty?!... więc kochasz go chyba?... Kochałaś go!... Od jak dawna już go kochasz?

VANNA. Nie znam go, nigdy go nie widziałam.

GWIDO. Ale wiesz, jaki jest... Opowiadał ci zapewne... Mówili, że...

VANNA. Ktoś powiedział mi, przed chwilą, że to starzec, więcej nic nie wiem...

GWIDO. Nie jest wcale starcem, przeciwnie, jest młody i piękny... Daleko młodszy ode mnie... Ale dlaczego nie stawiał innych żądań?... Poszedłbym tam sam ze skrzyżowanymi rękami, zacząłbym się na kolanach, byleby ocalić miasto... Zgodziłbym się pójść sam, jak żebrak... i jak żebrak tułałbym się bez dachu nad głową do końca życia i wyciągałbym ręce po jałmużnę na bezludnych drogach, gdyby Prinzi-vallo tego zażądał. Ale podła chuć tego barbarzyńcy!... Nigdy i nigdzie, w żadnym kraju zwycięzca nie poważałby się!.. (dochodzi do Vanny i ściska ją). O Vanno, moja Vanno, wciąż jeszcze nie wierzę! To nie ty mówiłaś! Nic nie słyszałem i wszystko może być jeszcze naprawione... To tylko ściany powtórzyły słowa mojego ojca... Powiedz, że się omyliłem, że źle słyszałem, że cała nasza miłość, cała twoja czystość, mówiły: „nie“, wołały: „nie“! jeśli już zmuszoną byłaś poddać się hańbie takiego wyboru! Doleciało do mnie tylko spóźnione echo... Nic nie było powiedziane i teraz dopiero przerwiesz dziewicze milczenie. Widzisz, wszyscy słuchają, nikt nie wie i słowo, które wypowiesz będzie pierwszym słowem. Wymów je prędzej, Vanno, aby wszyscy oni poznali cię, mów, Vanno,

aby poznali oni naszą miłość, aby pierzchło wreszcie to dręczące widziadło... Wymów to słowo, na które czekam; musi ono być wyrzeczone, aby podtrzymać to wszystko, co gotowe jest runąć we mnie.

VANNA. Wiem, mój Gwidonie, że twój los jest najsroźszy.

GWIDO (mimowoli odtrącając ją). Ale znoszę go sam jeden!... Nie kochałaś mnie!... I cóż to znaczy dla ludzi nie mających duszy? jest to może dla nich czemś nowem... nieznanem... kto wie, może nawet odświeżnem. Ale potrafię zakłócić to święto, nie dopuścić doń. Cokolwiekbyście mówili, cokolwiek czynilibyście, pamiętajcie, że jestem jeszcze u steru władzy... Cóż powiesz, jeżeli nie zniosę czegoś podobnego i zamknę cię w najdoskonalszem, najnieodstępnijszem więzieniu, w zimnym lochu pod tą salą i u wszystkich wrót postawię moich stradyotów i będę czekał, dopóki nie zgaśnie w tobie ogień a bohaterstwo twoje nieco ostygnie... Weźcie ją, rozkazałem!... Dalej, słuchajcie rozkazu!...

VANNA. Gwidonie, wiesz przecież dobrze...

GWIDO. Nie słuchają mnie!... nikt się nie rusza... Borso, Torello, czy ręce wasze skamieniały? A może głos mój utracił siłę?... A wy, tam, za drzwiami, czy nie słyszycie mojego głosu?... Krzyczę tak, że skały pę-

kłyby chyba! Wejdźcież! Bierzcie ją! Należy ona do wszystkich!... Rozumiem, boją się... Chcą żyć!... A więc będą żyli a dla mnie śmierć!... Boże!... to przecież takie proste... cały tłum... i jeden... jeden płaci za wszystkich!... Dlaczego jednak ja a nie wy?... Każdy z was ma także żonę! (dochodzi do Vanny, obnażając nawpół szpadę). A jeśli przeniosę twoją śmierć nad naszą hańbę? Czy pomyślałaś o tem? A jeżeli jednak... jeżeli... patrz, jeden ruch tylko...

VANNA. Uczyń to, Gwidonie, jeśli ci tak miłość nakazuje.

GWIDO. Jeżeli ci miłość nakazuje!... Ha, ha... i ty śmiesz mówić o miłości, której nie znałaś? Nie kochałaś nigdy... Jesteś martwa jak pustynia, dla której wszystko poświęciłem. I nie... ani jednej łzy... Byłem dla ciebie tylko ucieczką w potrzebie... Gdybyż choć przez jedną chwilę...

VANNA. Gwidonie, patrz, nie mogę mówić... spójrz na mnie... stygnę, umieram!...

GWIDO (tuląc ją w uścisku). Pozwól, niech cię uścisknę, Vanno!... Ożyjesz w moich objęciach!

VANNA (uwalnia się z jego objęć). Nie, nie, nie! Gwido!... Wiem... nie mogę powiedzieć... siły mnie opuszczają, gdy chcę wyrzec choćby jedno słowo... Nie mogę... chciałabym...

M. Maeterlinck. Dramaty.

Rozważyłam wszystko, wiem, kocham cię, winnam ci wszystko... jestem może ohydna... a jednak pójdę, pójdę pójdę!

GWIDO (odpychając ją). Dobrze! odejdź! idź do niego!... Wyrzekam się wszystkiego, odejdź! Zrywam z tobą!... (uderzając o rękę jeść swojej szpady). Pozostaje mi to jeszcze.

VANNA (chwytając go za rękę). Gwidonie!

GWIDO (odpychając ją). Ach, nie dotykaj mnie swojemi miękimi, ciepłemi rękami... Mój ojciec ma słuszość, lepiej cię widocznie znał... Ojcie, masz ją... to twoje dzieło, skończ je, nie zatrzymuj się w połowie drogi! Odprowadź ją do namiotu!... Ja zostanę, będę tutaj, gdy pójdziecie, ale nie sądzicie, że dotknę się tego chleba i mięsa, za które ona zapłaci!... Pozostaje mi jedno i wkrótce dowiedzie się...

VANNA (chwytając go za ramiona). Gwidonie, spójrz mi w oczy, nie odwracaj głowy... To jedyna groźba, która... Spójrz... muszę wiedzieć!...

GWIDO (patrzy na nią, odtrąca ją i mówi spokojnie). Patrz!... idź! nie znam cię! Nie zwlekaj... on czeka... nadchodzi wieczór... Nie bój się... Czy mam oczy człowieka, zdecydowanego na szalony jakiś krok? Nie umiera się z utraconej miłości. Gdy człowiek kocha, rozum odmawia posłuszeństwa. A mój rozum krzyczy nie teraz. Wychyliłem czarę miłości aż

do dna, czarę miłości i czystości... Nie mam ci nic więcej do powiedzenia... Nie, nie! puść mnie, nie chwytaj się mnie... ręce twoje nie zatrzymają uciekającej miłości... Już po niej... po niej bezpowrotnie... Nawet ślad nie pozostał... Cała przeszłość runęła... i przeszłość także... Tak, te smukłe paluszki, te jasne oczy, te czyste usta... Wierzyłem w nie kiedyś. Teraz nic mi nie pozostało (odtrącając kolejno obie ręce Vanny). Nic, nic, mniej niż nic... Żegnaj, Vanno, idź; żegnaj... Idziesz tam?

VANNA. Tak?

GWIDO. Nie wrócisz?

VANNA. Wrócę.

GWIDO. Zobaczmy! A... a... świetnie!... Któż mogłby przypuścić, że ojciec znał ją lepiej, niż ja?... (chwije się i chwyta za kolumnę. Vanna, sama, wychodzi zwolna, nie oglądając się na niego).

Zasłona spada.

AKT DRUGI.

Namiot Prinzivallo. Wykwint. Nieład. Na ścianach złotogłów i jedwabie. Broń, stopy drogich futer, nawpół otwarte skrzynie, naładowane do samej góry klejnotami i barwnymi materyami. W głębi wejście, zawieszane haftowanym dywanem.

SCENA I.

VEDIO, PRINZIVALLO. (Prinzivallo, stojąc przy stole, przegląda papiery, plany, broń. Wchodzi Vedio).

VEDIO. List od komisarza rzeczypospolitej.

PRINZIVALLO. Od Trivulzia?

VEDIO. Tak, Messir Malladura, drugi komisarz, jeszcze nie powrócił.

PRINZIVALLO. Widocznie nie tak jest łatwo, jak przypuszczali, pobić weneckie wojska, grożące Florencji ze strony Casantynu... Daj list (bierze list i czyta). Po raz ostatni komunikuje mi stanowczy rozkaz przypuszczenia o świcie szturm, grożąc w razie nie-

posłuszeństwa natychmiastowem uwięzieniem... Doskonale. A więc noc należy do mnie... I cóż oni sobie myślą?! Przypuszczają, że ta stara, znana śpiewka może odstraszyć człowieka, który czeka na podobną godzinę... jedyną w życiu! Więzienie, sąd i co jeszcze? Wiem, co to wszystko znaczy... Już dawno wtrąciliby mnie do lochu, gdyby tylko nie bali się...

VEDIO. Messir Trivulzio, wręczając mi list, powiedział, że przybędzie zaraz po mnie, aby pomówić z wami, panie.

PRINZIVALLO. Nareszcie zdobył się na odwagę. Będzie to stanowcza rozmowa. Ten nędzny, drobny pismak, mający uosabiać tutaj tajemną potęgę Florencji i nie śmiejący spojrzeć mi w oczy; błądy człowieczek, który nienawidzi mnie bardziej, niż śmierć, spędzi tutaj taką noc, jakiej się nie spodziewał. Musiał widocznie otrzymać ważne instrukcje, jeśli odważa się dotrzeć aż do samego legowiska potwora... Kto stoi na straży przy wrotach?

VEDIO. Dwaj starzy żołnierze z waszego galijskiego oddziału. Zdaje się, że jednym z nich jest Gernando a drugim, prawdopodobnie, Diego...

PRINZIVALLO. To wybornie, ci usłuchają mnie nawet, gdybym kazał zakuć w kajdany Boga-Ojca... Ściemnia się... Każ zapalić pochodnie. Która godzina?

VEDIO. Dziewiąta.

PRINZIVALLO. Marco Colonna jeszcze nie powrócił?

VEDIO. Rozkazałem straży, aby go do was przywiodła, gdy tylko przejdzie przez rów.

PRINZIVALLO. Miał powrócić przed ósmą, o ile nie przyjmą mojego warunku... Nadchodzi stanowcza chwila... treść całego mojego życia... Dziwne to, że człowiek może poświęcić wszystko, swój los, rozum, serce, szczęście i nieszczęście, wszystko dla tak przemijającej rzeczy, jak miłość kobiety... Sam gotów jestem śmiać się z tego... gdyby mi starczyło sił do śmiechu... Marco nie wraca... a więc ona przyjdzie. Spójrz, czy nie widać ogni sygnałowych, mówiących: „tak“, czy nie widać światła, rozjaśniającego drżące kroki tej, która płaci sobą za wszystkich, która, ratując swój naród, zbawia zarazem i mnie... Nie! pójdę sam... Nie chcę, aby inne oczy, nawet oczy przyjaciela ujrzały wcześniej, niż moje, aby zatrzymały choćby na jedno mgnienie to szczęście, na które czekam od pierwszych dni mojej najwcześniejszej młodości... (Dochodzi do drzwi, podnosi dywan i wpatruje się w mroki nocne). Ogień!... Vedio!... Spójrz! Płonie, zalewa potokiem światła nocne ciemności. Na tej wieży właśnie miał płonąć... Przeszywa mroki... W całym mieście płonie jeden tylko ogień... O, nigdy

Piza nie słała jeszcze w niebiosą tak cudownego kwiatu, oczekiwanego z tak namiętą i beznadziejną utęsknieniem!... O, drodzy moi Pizańczycy, będziecie mieli dzisiaj taką ucztę, że nigdy o niej nie zapomnicie a ja będę tak szczęśliwy, jakgdybym uratował rodzinne moje miasto.

VEDIO (chwytając go za rękę). Wejdźmy do namiotu, z tamtej strony nadchodzi Messir Trivulzio.

PRINZIVALLO (wchodząc). Prawda!... muszę jeszcze... Zresztą, rozmowa będzie krótka (dochodzi do stołu i przegląda papiery). Czy masz te trzy listy?

VEDIO Mam tylko dwa listy.

PRINZIVALLO. Dwa, które dawniej przejąłem i dzisiejszy rozkaz...

VEDIO Oto dwa pierwsze a ten trzeci sami trzymacie, panie, zmięty w rękę.

PRINZIVALLO Słyszę... (żołnierz podnosi dywan. Wchodzi Trivulzio).

S C E N A II.

CIEŻ I TRIVULZIO.

TRIVULZIO. Czy zauważyliście drżące światło, dające jakieś sygnały z pizańskiej wieży?

PRINZIVALLO. Sądzicie, panie, że to sygnały

TRIVULZIO Nie wątpię... Muszę z wami pomówić, Prinzivallo.

PRINZIVALLO Słucham. Idź, Vedio, ale zostań w pobliżu. Będiesz mi potrzebny. (Vedio wychodzi).

TRIVULZIO Wiecie wszak, Prinzivallo, jak was poważam. Dałem wam już dużo dowodów mojego szacunku dla was, ale to jeszcze nie wszystko. Florencka polityka, którą zwą obłudną, jakkolwiek jest tylko-ostrożną, wymaga, aby wiele rzeczy pozostawało przez długi czas ukrytymi nawet dla tych, których wtajemnicza ona napozór w najskrytsze swoje zamiary. My wszyscy posłuszni jesteśmy jej tajemnym rozkazom i każdy musi dźwigać po mężku ciężar tych tajemnic, na tem polega rozumna potęga ojczyzny. Wystarczy wam chyba, jeżeli powiem, że zawsze przyjmowałem udział w postanowieniach signorii, która stopniowo, idąc ze szczebla na szczebel, postawiła was, bez względu na waszą młodość i nieznane pochodzenie, na czele najlepszych wojskowych sił rzeczypospolitej. Nie miano, naturalnie, powodu żałować dokonanego wyboru. Ale od pewnego czasu utworzyła się wroga wam partya. Lękam się, że mówiąc wam o tem, daję pewną przewagę szczerzej mojej dla was przyjaźni nad obowiązkiem, w ścisłym słowa tego znaczeniu. Ale spełnianie

surowego obowiązku więcej nieraz przynosi szkody, aniżeli najśmielsza nawet wspaniałość. A więc ostrzegam was, że wasza opieszałość i wasze wahania wywołują najsurowsze napaści. Wielu wątpi nawet o waszej wierności. Pewne sekretne skargi na was potwierdziły ich podejrzenia. Wywarły one nader silne wrażenie na tej części zgromadzenia, która już poprzednio nieprzyjaźnie była względem was usposobiona. Obradowano nawet nad kwestyą pozbawienia was wolności i oddania pod sąd. Na szczęście uprzedzono mnie o tem w porę. Udałem się do Florencyi i z łatwością dostarczyłem wprost przeciwnych dowodów. Poręczyłem za was. Musicie teraz postępować tak, aby nie nadużyć położonego w was przezemnie zaufania. Gdybyście trwali nadal w dotychczasowej bezczynności, jesteście zgubieni. Mój towarzysz, Messir Malladura, zatrzymany został w Bibiennie przez wojska weneckie. Inne znów oddziały zbliżają się do Florencyi od strony północnej. Idzie tu już o uratowanie miasta. Możecie wszystko jeszcze naprawić, jeżeli rozkazecie jutro przypuścić stanowczy szturm. Powróci on nam najlepszą naszą armię i jedyne go wodza, stale wieńczonego laurem zwycięzcy. Pozwoli nam powrócić z podniesionym czołem do Florencyi, na zgotowane

nam tryumfalne przyjęcie, które uczyni z wczorajszych waszych wrogów najgorętszych wielbicieli i stronników.

PRINZIVALLO. Czy to już wszystko, coście mieli, panie, do powiedzenia?

TRIVULZIO. Tak, prawie wszystko, nie bowiem nie wspomniałem o gorącym przywiązaniu do was, które wciąż wzrastało we mnie od chwili, kiedy was poznałem. Rosło ono pomimo przykrego położenia, w jakim stawiają nas sprzeczne poniekąd prawa, wymagające, aby władza naczelnego wodza ograniczana była i hamowana w niebezpiecznych chwilach przez ukrytą potęgę Florencyi, której skromnym przedstawicielem wpośród blasku oręża jestem ja w danej chwili...

PRINZIVALLO. Czy rozkaz, otrzymany przeze mnie dzisiaj napisany jest waszą ręką?

TRIVULZIO. Tak.

PRINZIVALLO. Więc to napewno wasze pismo?

TRIVULZIO. Ależ naturalnie. Dlaczego o tem wątpicie?

PRINZIVALLO. A te dwa listy, czy poznajecie je, panie?

TRIVULZIO. Być może... Nie wiem... Co w nich napisano? Muszę wiedzieć...

PRINZIVALLO. Po co? Wystarczy, że ja wiem...

TRIVULZIO. Ach tak, to te same dwa listy...

Chciałem właśnie, żeby wpadły one w wasze ręce... Podstęp najzupełniej się udał.

PRINZIVALLO. Dość tego. Nie jestem dzieckiem. Dajmy pokój tym wykrętom i zakończmy rozmowę. Chciałbym ją przerwać jak najrychlej, aby otrzymać nareszcie nagrodę, z którą nie może iść w porównanie żaden tryumf, zgotowany przez Florencję. Przypisujecie mi w listach tych różne przestępstwa, rzucacie na mnie podłe oszczerstwa i to bez żadnych prawnych podstaw, jedynie dla przyjemności szkodenia mi a także kto wie, może chcąc z góry znaleźć usprawiedliwienie znanego skąpstwa Florencyi, która obawia się, że zadrogo kosztować ją będzie wdzięczność dla zwycięzkiego najemnika. Wszystko to ugrupowane jest z tak przewrotną zręcznością, że chwilami zaczynam sam wątpić o mojej niewinności! Wasza pozioma, podstępna zazdrość, wasza straszna nienawiść—skalaty, poniżyły, znieprawily wszystko od pierwszego tygodnia oblężenia aż do tej szczęśliwej chwili, w której nareszcie przejrzałem i... chcę usprawiedliwić wasze podejrzenia. Kazałem starannie przepisać te listy i odesłałem je do Florencyi. Czekałem na odpowiedź... Wierzę wam na słowo. Wierzę tem chętniej, że dali wam z góry temat do oskarżeń. Sądzą mnie nie wysłuchawszy mojej obrony i skazują

na śmierć. Wobec tego wiem, że gdybym był nawet niewinny jak archanioł, niczem nie będę w stanie odeprzeć oskarżeń. Dlatego właśnie postanawiam uwolnić się, zrywam wasze słabe pęta i występuję przeciwko wam... Dotychczas nie byłem zdrajcą, ale po tych dwóch listach, zgotowałem wam zgubę. Jeszcze dzisiejszego wieczora sprzedam was i waszych niefortunnych władców, sprzedam w sposób najokrutniejszy, najbardziej niepowetowany... I będę miał to przeświadczenie, że nigdy nie popełniłem słuszejszego aniżeli ten, postępuku, poniżając, rujnując jedyne miasto, które zalicza przewrotność do rzędu obywatelskich cnót i chce, aby podstęp, obluda, niewdzięczność i kłamstwo rządziły światem! Jeszcze dzisiejszego wieczora, dzięki mnie, wasz odwieczny wróg, niedozwalający wam na szerzenie rozkładu po za granicami waszych murów, dzisiejszego jeszcze wieczora Piza będzie uratowana, wzmoże się znów jej potęga i znów, jak dawniej, pogardzać będzie waszą władzą i lekceważyć ją... O, nie wstawaj, nie czyn daremnych ruchów. Wszystkie środki bezpieczeństwa są już obmyślane; to, co się ma spełnić, jest nieuniknione; jesteście, panie, w mojej mocy i tak samo jak trzymam was w moich rękach, tak, zda mi się, spoczywa w rękach moich los Florencji...

TRIVULZIO (wyjmując sztylet i uderzając Prinziwalla). Jeszcze nie!... Dopóki ręce moje wolne...

PRINZIVALLO (instyktownie, odpierając cios ręką, podrzuca rękojeść, która uderza go w twarz. Potem chwyta rękę Trivulzia). A! tak!... Nie spodziewałem się takiego wybuchu... takiego skutku przerażenia. Teraz jesteście w moich rękach, czujecie, że każda z nich warta całej waszej osoby. A tu wasz sztylet... Dość będzie, gdy go opuszczę... Szuka, zda się, waszej szyi... O, nie zmrużacie oczu, więc nie boicie się, panie?

TRIVULZIO Nie... Pchnijcie mnie sztyłem, macie zupełne prawo. Wiedziałem, że stawiam życie na kartę.

PRINZIVALLO (puszczając go). A!... naprawdę? W takim razie dziwię się wam. To rzadki wypadek. Nawet z pośród nas, ludzi oręża, niewielu potrafi iść w ten sposób naprzeciw śmierci. Nie przypuszczałem, aby w tak nędznym ciele...

TRIVULZIO Wy wszyscy, którzy dzierzycie obnażony miecz w dłoni, wyobrażacie sobie, że istnieje tylko jedyne męstwo, połyskujące na ostrzu szabli.

PRINZIVALLO Być może, że macie słuszość... Doskonale... Jesteście pozbawieni wolności, ale nie stanie się wam najmniejsza krzywda. Służymy różnym bogom (obciera-

jąc krew lejącą mu się z twarzy). O, jestem draśnięty. Nie można nazwać tego ciosu niezręcznym. Nieco pośpieszny, co prawda, ale dość silny. W każdym razie jeszcze trochę a... A wy, co byście zrobili, gdybyście mieli w rękach swoich człowieka, który omal nie wyprawił was na tamten świat, tam, dokąd nikt nie idzie chętnie.

TRIVULZIO. Nie szczędziłbym go.

PRINZIVALLO. Nie pojmuję was, panie, dziwny z was człowiek... Przyznajcie, że listy wasze były nieszlachetne. Przelałem krew w trzech wielkich bitwach, robiłem, co mogłem, władza była w waszych rękach, służyłem wiernie tym, którzy mnie wybrali i żadna zdradziecka myśl nie powstała w mojej głowie. Powinnibyście byli o tem wiedzieć, ponieważ śledziliście mnie. A tymczasem w listach waszych — czy to przez nienawiść, czy przez zazdrość, czy wreszcie ze względów oszczędnościowych — opacznie tłómaczyliście każdy krok mój, skierowany ku waszemu zbawieniu, zręcznie oszukiwaliście, gromadziliście kłamstwa na kłamstwach...

TRIVULZIO. Kłamały same fakty a zresztą... to nie najważniejsze. Ważną było rzeczą uchwycić ten niebezpieczny moment, kiedy żołnierz, dumny z dwóch lub trzech odniesionych wycięztw, nie zechce być dłużej

posłusznym swoim rozkazodawcom, których misja jest znacznie wyższą, niż jego. Godzina ta wybiła, obecna chwila jest najlepszym tego dowodem. Naród florencki zanadto was ukochał. Naszą jest rzeczą usuwać bożyszcza, które on sobie stwarza. W tej chwili jest niezadowolony z nas, ale w tym celu właśnie powierzył nam nasze stanowiska, abyśmy byli przeciwagą jego chwilowych kaprysów. Pojmuje on swój cel lepiej, niżby to przypuścić było można i kiedy obalamy to, w co zaczyna wierzyć, czuje on, że jakkolwiek wbrew jego woli na razie, spełniamy jednakże jego wolę. To jest właśnie przyczyna, dla której postanowiłem, że nastąpiła chwila pokazania nowego bożyszcza. Uprzedziłem Florencję, wiedziała ona naprzód, jak ma rozumieć moje kłamstwo.

PRINZIVALLO. Godzina jeszcze nie wybiła i nie wybiłaby, gdyby nie wasze okropne listy...

TRIVULZIO. Mogłaby wybić i to wystarcza.

PRINZIVALLO. Jaktó! Niewinny człowiek wskutek czczego podejrzenia pada bez litości ofiarą, przez samą tylko obawę niebezpieczeństwa, które mogłoby zagrażać?!

TRIVULZIO. Wobec Florencji życie pojedynczego człowieka nie może być braniem w rachubę.

PRINZIVALLO. A więc wierzycie, panie, w los

Florencyi, w jej przeznaczenie, w jej życie? W takim razie ja jej nie rozumiem?

TRIVULZIO Tak, wierzę w nią jedną tylko, po za nią nie dla mnie nie istnieje.

PRINZIVALLO. To możliwe. Ha... w takim razie macie słuszość, mając taką wiarę. Ja nie mam ojczyzny, nie mogę więc tego pojąć. Czasem zdaje mi się, że i mnie byłoby lepiej, gdybym miał ojczyznę. Przydałaby mi się... Ale mam za to coś innego, coś takiego, czego wy nigdy mieć nie będziecie i czego nikt mieć nie będzie w takim stopniu, jak ja! Będę miał to zaraz, w tej chwili, tutaj, na tem oto miejscu. To mi zastąpi wszystko... Teraz rozstańmy się, nie mam czasu na roztrząsanie tych kwestyi. Zbyt dalecy sobie jesteśmy wzajemnie, jakkolwiek prawie schodzimy się na jednym punkcie. Każdy człowiek dźwiga swoje przeznaczenie. Jednym kieruje jakaś idea, innym znów żądza. I wam byłoby równie trudno rozstać się z waszą ideą, jak mnie wyrzec się mojej żądz. Człowiek pozostaje do końca życia wiernym tym dwom bodźcom, jeżeli w duszy jego płonie jaśniejszy ogień, niż w duszy przeciętnych ludzi. I postępując w tym duchu, ma zawsze słuszość, swoboda jego jest tak ograniczona. Żegnajcie, Trivulzio, drogi nasze rozchodzą się. Dajcie mi rękę.

TRIVULZIO. Nie teraz. Wyciągnę do was dłoń, gdy kara...

PRINZIVALLO Zgoda. Dzisiaj przegraliście, za to jutro będziecie górą. (woła) Vedio! (wchodzi Vedio).

VEDIO. Panie! Co to? Jesteście ranieni? Krew się z was leje!

PRINZIVALLO. Głupstwo... Zawołaj dwóch strażników. Niech zabiorą tego człowieka, ale niech mu nie wyrządzają żadnej krzywdy. To wróg, ale wróg, którego kocham. Niech go umieszczą w bezpiecznem miejscu, tak, aby nikt go nie mógł widzieć. Będą za niego odpowiadali. Uwolnią go dopiero wtedy, kiedy wydam odpowiedni rozkaz. (Vedio wychodzi i wyprowadza Trivulzia. Prinzivallo ogląda przed zwierciadłem swoją ranę). Krew tak tryska, jakgdyby była przecięta tętnica... Rana niegłęboka, ale rozplątał mi pół twarzy... Któż mógłby przypuścić, że taki mizerny człeczyna... (Wchodzi Vedio). Czy wszystko wypełnione?

VEDIO. Tak, ale gubicie się, panie.

PRINZIVALLO Gubię się! Chciałbym do końca życia gubić się w podobny sposób. Gubię się, tak, Vedio! Ale nigdy jeszcze żaden człowiek nie zdobył tą drogą, drogą sprawiedliwej zemsty jedyne szczęście, o którym marzył od chwili, kiedy nauczył

M. Maeterlinck. Dramaty.

się marzyć. Czekałbym na nie, dążyłbym do niego, nie wahając się przed żadną zbrodnią, ponieważ jest ono dla mnie niezbędne i jest moją własnością a teraz, gdy moja szczęśliwa gwiazda sprowadza mi je na swoich srebrnych promieniach i ofiaruje w imię sprawiedliwości i miłosierdzia, powiadacie: „On się gubi“! Biedny człowieku, pozbawiony ognia!... Biedny człowieku, nie znający miłości! Czyliż nie czujesz, że w tej chwili w niebiosach waży się mój los i że przeważa on sto szczęść, udział tysiąca zakochanych! Zbliżyłem się do tej chwili, kiedy człowiek, obrany przez los do zdobycia szlachetnego zwycięstwa lub też przeznaczony do zniesienia wielkiego ciosu, staje u szczytu swojego życia, dokąd wszystko go pcha, gdzie wszystko go podtrzymuje, gdzie wszystko jest dla niego dostępne! A cóż obchodzi go reszta i to, co później nastąpi?! Wiemy, że człowiek nie jest stworzony dla podobnych momentów i że ci, którym dostają się one w udziale, padają pod ich ciężarem.

VEDIO (zbliżyła się z białymi opaskami). Krew ciągle jeszcze się sączy. Pozwólcie, panie, że wam obandażuję twarz...

PRINZIVALLO Obandażuj, jeżeli nie można inaczej... Ale postaraj się, aby bandaż nie zakrywał oczu i nie przecinał ust (patrzy

w zwierciadło). Wyglądam jak pacjent, który wyrwał się z rąk chirurga a jestem kochankiem, który gotów biedz naprzeciw miłości... Nie tak, nie tak (zsuwa opaskę. Słychać wystrzał). Co to jest?

VEDIO. Strzelają na punktach strażniczych.

PRINZIVALLO. Kto wydał rozkaz? To musi być omyłka. A jeżeli to do niej? Czy uprzedziłeś?

VEDIO. Uprzedziłem. Nie, to niemożliwe... Postawiłem kilku strażników, przyprowadzą wam ją, gdy się tylko ukaże...

PRINZIVALLO. Znów cisza. Zbliżyła się chwila... A ty mój Vedio, mój dobry Vedio, co się z tobą stanie?

VEDIO. Pójdę za wami, panie.

PRINZIVALLO. Nie, lepiej zostaw mnie samego... Nie wiem, ani dokąd pójdę, ani co się ze mną stanie. Sam jeden, umkniesz, nikt cię nie będzie gonił, tymczasem twojego pana... W tych skrzyniach leży dużo złota, weź je, już mi ono niepotrzebne. Czy wozy zaprzężone i stada uszykowane?

VEDIO. Wszystko stoi przed namiotem...

PRINZIVALLO. Dobrze. Gdy przyjdzie pora, dam znak a ty zrobisz, co należy... Idź, zobacz, czy...

SCENA III.

PRINZIVALLO, VANNA. (Vedio wychodzi Prinzivallo zostaje przez chwilę sam. Vedio podnosi po chwili dywan u wejścia i mówi półgłosem: „Panie“! Potem oddala się a we drzwiach ukazuje się i staje na progu Vanna, owinięta długim płaszczem. Prinzivallo drgnął i robi krok na jej spotkanie).

VANNA (stłumionym głosem). Przyszedłam... żądaliście tego, panie...

PRINZIVALLO (zbliżając się do niej). Krew na waszej ręce! Czyście raniona, pani?!

VANNA. Kula drasnęła mnie w ramię.

PRINZIVALLO. Gdzie?... Kiedy?... To okropne!

VANNA. Gdy dochodziłam do obozu.

PRINZIVALLO. Któż to wystrzelił?

VANNA. Nie wiem... Ten człowiek uciekł.

PRINZIVALLO. Pokażcie mi ranę.

VANNA (odchylając nieco płaszcz). Tutaj.

PRINZIVALLO. Nad lewą piersią... Nie przeszła głębiej... drasnęła tylko skórę... Czy czujecie ból?

VANNA. Nie.

PRINZIVALLO. Jeżeli chcecie, każę opatrzyć ranę.

VANNA. Nie. (milczenie).

PRINZIVALLO Zdecydowaliście się przyjść, pani?

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Czy mam przypomnieć warunki?

VANNA. To zbyt ciche, znam je.

PRINZIVALLO. I nie żałujecie, pani, żeście przyszli?

VANNA. Czy należało przyjść bez żalu?

PRINZIVALLO. Mąż wasz zgadza się?

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Chcę, abyście nie zadawali sobie przymusu... Macie jeszcze czas... możecie jeszcze cofnąć się!

VANNA. Nie.

PRINZIVALLO. Cóż was skłoniło?

VANNA. Tam giną z głodu a jutro czeka ich jeszcze straszniejsza klęska.

PRINZIVALLO. I żadne inne pobudki nie kierowały wami?

VANNA. Jakież mogły być inne pobudki?

PRINZIVALLO. Rozumiem... a więc, enotliwa niewiasta...

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Kochająca swego męża...

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Gorąco.

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO.. Pod płaszczem tym nic nie okrywa waszego ciała?

VANNA. Nie (robi ruch, aby rzucić płaszcz, Prinzivallo wstrzymuje ją gestem).

PRINZIVALLO. Zauważyliście, pani, przed namiotem szeregi wozów i stada?

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Jest tam dwieście wozów, pełnych najlepszej tokańskiej pszenicy, dwieście, naładowanych sianem, owocami i winem z okolic Sienny. Trzydzieści wozów prochu przybyło wprost z ziemi Germanów a dwanaście ładownych ołowiem. Prócz tego jest tam sześćset angielskich byków i tyśiąc dwieście sztuk owiec. Wszystko to czeka tylko na wasz rozkaz, aby wyruszyć do Pizy. Chcecie spojrzeć, jak ruszą z miejsca?

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Zbliżcie się do wyjścia. (Podnosi dywan, wydaje rozkaz i daje znak ręką. Słychać głuchy, wciąż rosnący tentent, widać zapalone pochodnie, słychać trzaskanie z biczów; wozy ruszają z miejsca, stada ryczą, beczą i uderzają kopytami. Vanna i Prinzivallo, stojąc na progu namiotu, patrzą, jak olbrzymi obóz, oświetlony światłem pochodni, znika w przepaściach gwiazdzistej nocy). Od dzisiejszego wieczora Piza dzięki wam, pani, przestanie znosić męki głodu. Stanie się znów niezwykłą i jutro będzie śpiewać, tryumfująca, upojona radością, której nikt nie mógł się już spodziewać. Jesteście zadowoleni?

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Zasłońmy wejście. Wieczór jeszcze ciepły, ale noc będzie chłodna. Przyszlście bez broni, bez ukrytej trucizny?

VANNA. Nie mam na sobie oprócz sandałów i płaszcza. Zdejmijcie ze mnie wszystko, jeżeli lękacie się podstęp.

PRINZIVALLO. Nie o siebie się lękam, ale o was.

VANNA. Ich życie jest dla mnie ważniejsze...

PRINZIVALLO. Tak macie słuszość... Zbliżcie się, oto moje łożo. Łoże żołnierza. Twarde jest i szorstkie, nie szersze od grobu... niegodne ono was. Spocznijcie, pani, na tych skórach żubrów i baranów, nie zaznały one jeszcze pieczyoty miękiego i delikatnego ciała kobiecego, podłóżcie pod głowę to futro, najbardziej jedwabiste ze wszystkich. To skóra rysia, dał mi ją po odniesionem zwycięstwie pewien król afrykański. (Vanna siada, otulając się szczelnie płaszczem). Blask lampy razi wasze oczy.

VANNA. To mi obojętne.

PRINZIVALLO. (pada na kolana przed łożem i ze stłumionem łkaniem chwyta rękę Vanny). Giovanni!... (Vanna ze zdumieniem podnosi głowę i wpatruje się w niego). O Vanno, moja Vanno, ja też przywykłem zwać was tem imieniem!... Teraz omdlewam, wymawiając je... Od tak dawna żyło w głębi

meego serca, że teraz, wydostając się zeń, rozbija swoje więzienie... Jest ono samem sercem mojem, innego nie posiadam... Każda jego zgłoska mieści w sobie całe moje życie i kiedy wymawiam to imię, życie ucieka prawie ze mnie. Imię to stało mi się blizkiem; zdawało mi się, że je znam, tak często je powtarzałem, jako wielki wyraz miłości i mówiłem sobie, że będę musiał mieć kiedyś odwagę wymówienia go chociaż raz wobec tej, której wzywało ono nadaremnie. Sądziłem, że wargi moje przyjęły formę tego dźwięku, że będą umiały we właściwej chwili wymówić je z taką pieśczołą, z takim szacunkiem, z tak głębokiem i pełnem pokory oddaniem się, że ta, która je usłyszy, zrozumie, ile w niem mieści się bólu, ile miłości... I oto teraz zwraca się ono już nie do sennego widziadła... i już nie jest ono tem... Nie poznaję go, gdy wydzie-
ra się z moich ust, przerywane przez łkanie, rozdarte lękiem... Zbyt wiele weń włożyłem! Ten ogień, to uwielbienie, wyczerpuje moje siły i głos mój zamiera...

VANNA. Kim, jesteście, panie?

PRINZIVALLO. Nie poznajecie mnie?... Pamięć nic wam nie dyktuje? O, czasie! Jakie przedziwne unosisz rzeczy! Ale te rzeczy przedziwne istniały tylko dla mnie... To i lepiej może, że są zapomniane... Nie będę

miał już więcej nadziei, ale za to mieć będę mniej żalu. Nie, jestem dla was nikim, poprostu biednym człowiekiem, który ujrzał na mgnienie oka cel swojego życia... Jestem nędzarzem, który niczego nie żąda, który nie wie nawet, czego ma żądać... Ale chciałbym, zanim mnie opuścicie, pani, powiedzieć wam czem byliście dla mnie, czem będziecie do końca mojego życia...

VANNA. A więc znacie mnie? Kim jesteście?!

PRINZIVALLO. Czy w istocie nigdy nie widzieliście, pani, tego, kto patrzy w tej chwili na was tak, jak w bajecznym chyba świecie patrzą na źródło szczęścia i życia... jak straciłem już nadzieję patrzeć na was...

VANNA. Nie... o ile sięgam pamięcią.

PRINZIVALLO. Tak, naturalnie, nie wiedzieliście nic, byłem tego pewien, że nie wiecie... Miliście, pani, osiem lat dopiero a ja dzie-
sieć, gdy was spotkałem po raz pierwszy...

VANNA. Gdzie?

PRINZIVALLO. W Wenecyi. Było to w niedzielę, w czerwcu... Mój ojciec, stary jubiler, przyniósł matce waszej naszyjnik z pereł. Zachwyciła się ona perłami... Ja błądziłem po ogrodzie. Nagle ujrzałem was, pani, w mirtowym gaju, przy marmurowej fontannie. Cieniutka, złota obrączka wpadła do wody... Płakaliście, pani, stojąc przy marmurowym cokole... Wszedłem do wody,

omal nie utonąłem, ale wydostałem obręczkę i włożyłem ją wam na palec... Usteczka dziecka obdarzyła mnie pocałunkiem... tak byliście szczęśliwi, pani...

VANNA. Złotowłose chłopię, na imię mu było Gianello?... Więc to ty jesteś, Gianello?!...

PRINZIVALLO. Tak.

VANNA. Czyż mogłabym was poznać?... W dodatku z temi opaskami, zakrywającemi całą twarz... Widać tylko oczy...

PRINZIVALLO (odsuwając nieco opaskę). Czy poznajecie mnie, pani, gdy zdejmuję opaskę?

VANNA. Tak... zapewne... zdaje mi się, tak... jeszcze i teraz macie coś dzieciennego w uśmiechu... Ale i wy, panie, jesteście ranieni, krew leje się strumieniem.

PRINZIVALLO. O, u mnie to nie ma znaczenia, ale wy, pani, wy... to rzecz inna.

VANNA. Ale opatrunek przemoka!... Pozwólcie mi przewiązać opaskę. Źle jest nałożona (poprawia opaskę). Podczas tej wojny często opatrywałam ranionych. Tak, tak, pamiętam... staje mi przed oczami ogród, laury, granaty, róże... Często bawiliśmy się tam po południu, na ciepłym piasku, ozłoconym promieniami słońca...

PRINZIVALLO. Dwanaście razy, liczyłem. Mogłbym wam przypomnieć, pani, wszystkie wasze zabawy, wszystkie wasze słowa...

VANNA. Potem, raz, pamiętam... czekałam... Lubiłam was przecież bardzo. Byliście tacy poważni, łagodni, jak dziewczątka a ze mną obchodziliście się jak z królową... Nie przyszedliście...

PRINZIVALLO. Ojciec mnie zabrał z sobą. Pojechał do Afryki... Błądziliśmy tam w pustyni, potem dostałem się do niewoli, do Arabów, do Turków, do Hiszpanów i nie wiem do kogo jeszcze. Gdy powróciłem do Wenecyi, matka wasza umarła, ogrodu już nie było... Straciłem wasz ślad, potem znów go odnalazłem dzięki waszej piękności, pozostawiającej po sobie wszędzie niezatarte wspomnienie.

VANNA. Czy poznaliście mnie, panie, odrazu, jak tylko weszłam?

PRINZIVALLO. Gdyby jednocześnie z wami, o pani, weszło dziesięć tysięcy jednakowo ubranych, jednako pięknych niewiast, jak dziesięć tysięcy siostr, których nie umiałaby odróżnić rodzona matka, ja wstałbym, wziąłbym was za rękę i rzekłbym: „Oto ona“! To dziwne, wszak prawda? Dziwne, aby ukochana postać mogła żyć w sercu... a wasza postać żyła w mojem sercu, zmieniała się z dniem każdym jak w rzeczywistości... I dzisiejszy obraz zacieriał wczorajszy, rozkwitał, stawał się coraz piękniejszym, lata nadawały mu to wszystko,

co nadają preradzającemu się w kobietę dziecku... Kiedy ujrzałem was, zdało mi się zrazu, że mnie oczy mylą. Wspomnienia moje były tak piękne i tak dokładne... Ale były one nadto nieśmiałe i życie je wyprzedziło... Nie śmiały one opromienić was, pani, tym blaskiem, jaki olśnił wzrok mój w pierwszej chwili. Jestem jako człowiek, który pamięta kwiatek, dostrzeżony zaledwie w przelocie w parku i który widzi nagle dziesiątki tysięcy takich kwiatów na łące, oblanej słońcem. Ujrzałem to samo czoło, oczy, włosy, odnalazłem w ubóstwie obliczu tę samą duszę, ale piękność całej postaci pozostawiła znacznie w tyle obraz, który pieściłem na dnie serca przez tyle dni, miesiące, lat—obraz, opromieniony tylko światłem wspomnienia, wyprzedzony znacznie przez rzeczywistość.

VANNA. Tak, kochaliście mnie, jak się kocha zwykle w tym wieku, ale czas i rozłąka zawsze upiększają miłość.

PRINZIVALLO. Ludzie zawsze utrzymują, że kochają lub kochali tylko raz w życiu, ale rzadko bywa to prawdą. Swoje upodobania, zarówno jak i swoją obojętność przystrajają w piękną szatę wyjątkowych cierpień, znanych tylko ludziom, stworzonym dla jedyniej miłości. A gdy jeden z tych nieszczęśliwych chce odkryć głęboką i smutną praw-

dę, która zniweczyła całe jego życie, musi używać tych samych słów, które są we wszystkich innych ustach tylko pięknym kłamstwem i słowa tę—nadużywane przez szczęśliwych kochanków, okazują się pozbawionymi całej swojej siły i znaczenia. Ta, która ich słucha, mimowoli strąca te święte i często smutne wyrazy na poziom ich zwykłej wartości, nadając im to pospolite znaczenie, jakie mają one zazwyczaj u ludzi.

VANNA. Ja tak nie uczynię. Rozumiem tę miłość, wszyscy oczekujemy jej w zaraniu życia a potem wyrzekamy się naszych marzeń, bo z wiekiem—jakkolwiek nie jestem jeszcze starą—wiele rzeczy gaśnie w nas.—A gdy powróciliście do Wenecyi i gdy wskazano wam mój ślad, cóż wtedy? Czy było już zapóźno? Czy nie staraliście się zobaczyć tej, którą tak kochaliście?

PRINZIVALLO. W Wenecyi dowiedziałem się, że matka wasza umarła i że wychodzicie zamaż za patrycyusza tokańskiego, najpotężniejszego, najbogatszego człowieka w Pizie i że czeka was los szczęśliwej i wielbionej królowej. A cóż ja mogłem wam ofiarować, pani? Nędzę i włóczęgę poszukiwacza przygód, pozbawionego ojczyzny i własnego dachu nad głową... Zdawało mi się, że sam los wymaga od miłości mojej tej ofiary, którą poniosłem. Niejednokrotnie krążyłem

dokoła tego miasta, nie mając odwagi przekroczenia jego bram, aby nie uleść pokusie ujrzenia was i nie zamącić szczęścia i wesela, jakie znaleźliście w tem zameczku. Oddałem miecz swój na usługi obcemu narodowi, przyjąłem udział w dwóch czy trzech wojnach, zyskałem sławę jako najemnik. Żyłem z dnia na dzień, pogrzebawszy już na wieki nadzieję, dopóki Florencyja nie posłała mnie do Pizy...

VANNA. Jakże słabi i tchórzliwi są mężczyźni, gdy kochają! Nie rozumiecie mnie fałszywie: nie kocham was i nie mogę powiedzieć, czy byłabym was pokochała, panie. Ale w sercu mojem głośno buntuje się sam duch miłości na myśl, że człowiek, który kochał mnie tak, jak i ja umiałabym pokochać, nie znalazł w sobie dość męstwa do wywalczenia zwycięstwa swemu uczuciu.

PRINZIVALLO. Męstwa nie zbrakłoby mi... Nie możecie sobie wyobrazić, pani, ile potrzeba było odwagi, aby powrócić... Ale było już zapóźno.

VANNA. Nie było jeszcze zapóźno wówczas, kiedy opuszczaliście Wenecję. (Nie może być nigdy zapóźno, gdy idzie o miłość, stanowiącą treść całego życia... Nie słabnie ona... Nie traci wciąż jeszcze nadziei, chociaż niczego się już nie spodziewa. Gdybym kochała tak, jak wy... Ach, trudno powie-

dzieć, co należało czynić!... ale jestem pewna, że prosty traf nie mógłby bez walki odebrać mi nadziei. Dążyłabym do odzyskania jej dniem i nocą. Ach, nie myślałabym o innej miłości, o innym szczęściu! Powiedziałabym losowi: „Usuń się, ja idę“! Zmusiłabym kamienie do pomagania mi, zmusiłabym tego, kogobym pokochała, do powtarzania tych słów, do powtarzania po sto razy!...

PRINZIVALLO (starając się uchwycić rękę Vanny). Vanno, ty go nie kochasz?

VANNA. Kogo?

PRINZIVALLO. Gwidona.

VANNA (cofając rękę). Nie szukajcie mojej ręki. Nie daję jej. Widzę, że słowa moje nie muszą być dość jasne. /Gdy Gwido pojmował mnie za małżonkę, byłam samotna i biedna a samotna i biedna kobieta, szczególnie jeśli jest piękną i lekceważy kłamliwe wykrety, wkrótce pada ofiarą oszczerstw... Gwido nie zwrócił na nie uwagi, wierzył we mnie i zdobył mnie tą wiarą. Uczynił mnie szczęśliwą, jakkolwiek wypadło mi wyrzec się szalonych może rojeń, nie dających się widocznie ziścić w ziemskim życiu. /I wy, panie, przekonacie się też — pragnęłabym przynajmniej w to wierzyć — że można być szczęśliwym, nie spędzając całych dni na marzeniu o szczęściu, jakiego nikt jeszcze nie

doświadczał. Kocham teraz Gwidona, nie taką dziwną—sądząc przynajmniej ze słów waszych—jak wasza, miłością, ale bezwątpienia równiejszą, wierniejszą i trwalszą... Miłość tę dało mi życie; nie byłam ślepą, przyjmując ją; innej mieć nie będę i jeśli kto z nas obojga zniweczy ją, to tym kimś z pewnością nie będę ja... Niewłaściwie mnie zrozumieliście, panie... Być może, że ja sama użyłam wyrazów, które wprowadziły was w błąd, ale nie mówiłam ani o was, ani o sobie, przemawiałam tylko w imieniu tej miłości, którą przeczuwa się w zaraniu życia; istnieje ona, być może, ale my oboje nie znaleźliśmy jej i wy także, ponieważ nie zrobiliście tego, czego wymaga podobna miłość...

PRINZIVALLO. Surowo sędzicie moją miłość, Vanno, ale nie wiecie, co ona znosiła, co musiała przezwyciężyć, aby doczekać się tej szczęśliwej chwili... Każde inne uczucie cofnęłoby się wobec podobnych przeszkód. Ale gdyby nawet nie była ona nic robiła, gdyby nie była nic uzyskała, wiem jednak aż nadto dobrze o jej istnieniu, ponieważ jestem jej ofiarą. Poświęciłem jej całe moje życie, zabiła we mnie wszystko, co daje człowiekowi zadowolenie, szczęście i sławę. Od chwili, kiedy mną zawładnęła, każdy krok mój, każdy mój ruch miał na celu

zbliżenie mnie do niej chociaż na chwilę w celu dowiedzenia się o moim losie, nie wyrządzając jednak wam żadnej krzywdy. O, wiercie mi, Vanno, musicie mi wierzyć! wszak nie trudno jest wierzyć temu, kto niczego nie żąda, kto pożegnał się z nadzieją... Jesteście teraz w moim namiocie, w mojej mocy. Wystarczy, abym wyrzekł jedno słowo, abym wyciągnął rękę a wnet posiądem wszystko, czego pożąda zwykła miłość. Ale i wam wiadomo jest snadź równie dobrze jak i mnie, że ta miłość, o jakiej ja mówię, domaga się czego innego zupełnie i dlatego chcę, abyście nie wątpili o mojem uczuciu. Ująłem waszą rękę, mając nadzieję, że mi uwierzycie, teraz nie dotknę jej więcej ani palcem, ani wargami. Ale gdy się rozstaniemy, aby się już nigdy więcej w życiu nie spotkać, unieście, pani, przynajmniej w głębi duszy przeświadczenie, że kochałem was właśnie taką miłością i że ustąpiła ona tylko wobec niepodobieństwa.

VANNA. Dlatego właśnie pozwalam sobie o niej wątpić, że mogła istnieć dla niej nieprzewyciężona przeszkoda... Nie przypuszczajcie tylko, że požądam niezwykłych przeszkód, że chciałabym wystawić ją na próby, przechodzące ludzkie siły. Opowiada, że pewna niewiasta w Pizie rzuciła rękę.

M. Maeterlinck., Dramaty.

kawieczkę do lwiej jamy i poprosiła swego ukochanego, aby ją ztamtąd wydostał i przyniósł. Rycerz jej nie posiadał przy sobie innej broni oprócz rzemieiennej szpicróżgi; pomimo to poszedł, odpędził lwy, wziął rękawieczkę i zginając kolano przed damą swego serca, oddał jej rękawieczkę; potem wstał i nie mówiąc ani słowa, odszedł aby... więcej nie powrócić. Postąpił on podług mnie nazbyt delikatnie: mając przy sobie szpicróżgę, powinien był za jej pośrednictwem nauczyć tę, która wyszydziła jego boskie uczucie, właściwszego pojęcia o prawach i obowiązkach prawdziwej miłości. Co do mnie, to nie żądam od was, panie, podobnych dowodów, chętnie wierzę wam. Ale dla szczęścia waszego a także i mojego, chciałabym wątpić. Taka wyjątkowa miłość, jak wasza, ma w sobie coś świętego, co musi wzruszyć nawet najzimniejszą, najcnotliwszą kobietę. Dlatego właśnie tak ściśle rozważam wasze postęпки i byłabym szczęśliwą, gdybym nie odnalazła w nich ani śladu tej zabójczej i bardzo rzadko szczęśliwej namiętności. Byłabym prawie pewną, że nie znajdę tego, gdyby nie wasz ostatni krok, kiedy bez namysłu poświęciliście wszystko, waszą przeszłość i przyszłość, sławę, życie, wszystko, co posiadacie, aby zmusić mnie do przyjęcia na jedną go-

dzinę do tego namiotu. Postępek ten każe mi wyznać, że nie omyliliście się może, panie...

PRINZIVALLO. Otóż ten właśnie krok niczego nie dowodzi.

VANNA. W jaki sposób?

PRINZIVALLO. Wolę wyznać wam całą prawdę. Zażądawszy waszego przyjęcia wzajemian za uratowanie Pizy, nie nie poświęcałem.

VANNA. Nie rozumiem. Jakto, więc nie zdradziliście ojczyzny?... Nie poświęciliście waszej przeszłości ani waszej przyszłości? nie skazaliście się dobrowolnie na wygnanie? kto wie, może i na śmierć nawet?

PRINZIVALLO Przedewszystkiem, nie mam ojczyzny... Gdybym ją miał, nie poświęciłbym jej, sądzę, dla żadnej na świecie miłości!.. Ale jestem tylko najemnikiem, wiernym dopóty, dopóki i jemu są wierni, ale zdradzającym, gdy czuje, że i jego zdradzają... Komisarze Florencji fałszywie mnie oskarżyli i wskutek tego zostałem potępiony bez sądu przez rzeczpospolitą kramarzy, której obyczaje znane są wam, pani, równie dobrze jak mnie. Wiedziałem, że niema dla mnie ratunku. To, co zrobiłem dzisiaj wieczorem, już mi więcej zaszkodzić nie może, przeciwnie, znajdę być może w tym kroku swoje oca-

lenie, o ile wogóle szczęśliwy jakiś traf może mnie jeszcze ocalić...

VANNA. A więc niewiele poświęciliście dla mnie, panie?

PRINZIVALLO. Nic. Musiałem wam to wyznać, pani... Rad jestem, że znalazłem sposobność... Byłoby mi przykro kupić za cenę kłamstwa chociażby jeden wasz uśmiech...

VANNA. O, jak to pięknie, Gianello! ten postępek wart jest miłości i najwspanialszych jej dowodów. Nie będziesz już szukał ręki, któraby lepiej, niż dotychczas unikała ciebie. Masz ją.

PRINZIVALLO. Ach, wolałbym, aby ją zdobyła miłość. Ale niech i tak będzie. W każdym razie mam ją teraz, Vanno, trzymam w swoich dłoniach, rozkoszuję się jej alabastrową białością, wdycham w siebie jej życie, na chwilę upajam się słodką iluzją, odczuwam jej ciepłą świeżość, ściskam ją, tulę, otwieram i zamykam, jakgdyby gotowa ona była odpowiedzieć mi czarownym i tajemnym językiem zakochanych... Okrywam ją pocałunkami a ty nie cofasz jej, Vanno?

VANNA. Zrobiłabym to samo, będąc na twoim miejscu, może nieco lepiej lub nieco gorzej.

PRINZIVALLO. A czy wiedziałaś, jaki jestem, gdy zgodziłaś się przyjść do mojego namiotu?

VANNA. Nikt tego nie wiedział... O wodzu nieprzyjacielskiego wojska najsprzeczniejsze krążyły wieści. Podług jednych miałaś być wstrętnym starcem, podług innych młodym księciem przedziwnej urody.

PRINZIVALLO. Wszak poznał mnie ojciec Gwidona. Czy nic ci nie mówił?

VANNA. Nic.

PRINZIVALLO. Nie pytałaś go?

VANNA. Nie.

PRINZIVALLO. A więc szłaś nocą, sama, bezbronna, aby oddać się nieznanemu, może wtrętnemu barbarzyńcy i czy w samej rzeczy dreszcz odrazy nie wstrząsał twoim ciałem, czy serce twoje nie zamierało z trwogi?

VANNA. Nie. Trzeba było iść.

PRINZIVALLO. A gdy ujrzałaś mnie, nie zawahałaś się?

VANNA. Pamiętasz przecież. Nie widziałam nic oprócz twoich opasek...

PRINZIVALLO. Tak a potem, Vanno, gdy je usunąłem?

VANNA. Wtedy było już zupełnie co innego, wiedziałam już.... A ty, na co byłeś zdecydowany, gdy wchodziłam do twojego namiotu? Czy istotnie do ostatka chciałeś wyzyskać naszą klęskę?

PRINZIVALLO. Ach, nie wiem sam, co chciałem uczynić. Czułem, że ginę i chciałem

wszystko zgubić! Nienawidziłem cię za miłość moją dla ciebie! I byłbym tak zrobił, gdybyś to nie ty była weszła. Ale każda inna wydałaby mi się wstrętną. Gdybyś ty sama nie okazała się podobną do siebie, do tej... Włos jeży mi się na głowie na samą myśl o tem. Wystarczyłoby jedno słowo, nie twoje, jeden nie twój gest, najmniejszy drobiazg, aby rozpałił nienawiść i zbudził potwora. Ale, gdy tylko cię ujrzałem, zrozumiałem odrazu, że to niemożliwe.

VANNA. I ja również spostrzegłam to i już nie lękałam się ciebie, zrozumieliśmy się wzajem, nie przemówiwszy ani słowa. To istotnie zdumiewające... Zdaje mi się, że postępowałabym zupełnie tak samo, jak ty, gdybym, jak ty, kochała. Czasem zdaje mi się, że jestem tobą, że ty mnie słuchasz, i że to ja mówię wszystko to, co ty do mnie mówisz.

PRINZIVALLO. I ja także, Vanno, od pierwszej chwili poczułem, że mur, oddzielający jednego człowieka od drugiego, staje się pomiędzy nami przejrzystym jak płyn kryształowy i zanurzałem w nim swoje ręce i zatapiałem spojrzenia, potem tryskało z nich światło, płynęła z nich wiara i szczerłość, jakgdybym zanurzał je we własnem sumieniu, we własnem sercu. Zaczęło mi się też wydawać, że cały świat się zmienił, że by-

łem dotychczas w obłądzie... Ale przede wszystkim zdawało mi się, że ja sam się zmieniłem, że wychodzę z długiego więzienia, że drzwi lochu otwierają się, że kwiaty i liście, rozsuwają kraty, że zapadają się wszystkie kamienie i horyzont rozszerza się, że świeże technienie wiosenne wdiera się do duszy mojej, owiewa moją miłość.

VANNA. I we mnie także zachodziła zmiana. Dziwiłam się sobie, że mogę mówić z tobą w ten sposób od pierwszej chwili... Jestem bardzo milcząca zazwyczaj... Nigdy z nikim nie mówiłam tak, chyba z Markiem, ojcem Gwidona. A nawet z nim zupełnie inaczej... Żyje on zawsze w świecie marzeń, które całkowicie go pochłaniają i mówiłam z nim nie więcej, niż trzy, czy cztery razy. W oczach innych ludzi płonie zawsze ogień pożądania, który nie pozwala właśnie powiedzieć im, że się ich kocha, że pragnie się wiedzieć, co zachodzi w ich sercu... Z oczu twoich wyczytuję także pożądanie, ale jest ono inne, nie odpycha, nie przeraża... Poczułam odrazu, że cię znam, chociaż nie pamiętałam, gdzie cię widziałam.

PRINZIVALLO. Czy mogłabyś była mnie pokochać, gdyby mój los zawistny nie był mnie sprowadził z powrotem zapóźno?

VANNA. Gdybym mogła powiedzieć, że pokochałabym cię, znaczyłoby to, że cię już ko-

cham, wszak prawda, Gianello? A wiesz przecież równie dobrze jak i ja, że to nie-możliwe... Ale mówimy z sobą, jakgdybyśmy żyli na bezludnej wyspie... Gdybym była sama na świecie, nie byłoby nic w tem złego... Zadługo jednak zapominamy o tem, jak bardzo cierpi pewien człowiek wtedy, kiedy my nieopatrznie przesyłamy uśmiechy przeszłości.. Gdy opuszczałem Pizę, ta rozpacz Gwidona, ten nabrzmiały bólem głos, ta bladość oblicza... Nie, nie! nie mogę dłużej zwlekać... Świt już niedaleki, muszę jaknajprędzej dowiedzieć się... Ale słyszę kroki. Ktoś zbliża się do namiotu. Ślepy traf wspańałowmyślniejszy jest od nas obojga. Słyszę szmer przy wejściu... Słuchaj, słuchaj, co to?...

SCENA IV.

CIŻ i VEDIO. (Zzewnątrz dochodzi szepta-nie i szmer przyspieszonych kroków, potem głos Vedia, mówiącego przed namiotem).

VEDIO (nie wchodząc). Pani!!..

PRINZIVALLO. To głos Vedia... Wejdz! Co się stało?!

VEDIO (na progu namiotu). Przybiegłem pędem... Ratujcie się, panie! Najwyższy czas...

Messir Malladura, drugi komisarz Floren-cyi...

PRINZIVALLO. Był przecież w Bibiennie....

VEDIO. Powrócił... A z nim sześcuset lu-dzi... Samych Florentczyków. Widziałem ich idących... Wojsko wzburzone. Przywiózł roz-kaz... Oskarżeni jesteście, panie, o zdradę... Szuka Trivulzia. Boję się, aby go nie zna-lazł, zanim zdążycie...

PRINZIVALLO. Idź, Vanno!

VANNA. Dokąd mam iść?

PRINZIVALLO. Vedio i jeszcze dwaj wierni ludzie odprowadzą cię do Pizy!

VANNA. A dokąd ty pójdziesz?

PRINZIVALLO. Nie wiem... wszystko mi je-dno... Świat jest duży, znajdzie się i dla mnie kąt jakiś...

VEDIO. O, panie, bądźcie ostrożnym. Za-jęli całą okolicę dokoła miasta; Toskania pełna jest szpiegów.

VANNA. Chodźmy oboje do Pizy?

PRINZIVALLO. Co? ja razem z tobą?!

VANNA. Tak.

PRINZIVALLO. Nie mogę.

VANNA. Chociaż na kilka dni... Ukryjesz się w ten sposób przed pierwszą pogonią.

PRINZIVALLO. A twój mąż?

VANNA. Wie on równie dobrze, jak ty, jak należy obchodzić się z gościem.

PRINZIVALLO. I uwierzy ei, gdy mu powiesz?...

VANNA. Tak. Gdyby mi nie uwierzył... Ale to niemożliwe... Chodźmy!

PRINZIVALLO. Nie.

VANNA. Dlaczego? Czego się lękasz?

PRINZIVALLO. Boję się o ciebie.

VANNA. Dla mnie niebezpieczeństwo jest jednakie, czy będę sama, czy z tobą. Lękać się należy tylko o ciebie. Ty ocaliłeś Pizę, teraz ona musi ciebie ocalić... Przyjdiesz pod moją strażą, ja odpowiadam za ciebie...

PRINZIVALLO. Pójdę z tobą.

VANNA. To najlepszy dowód twojej miłości... Chodźmy.

PRINZIVALLO. A twoja rana?

VANNA. Twoja daleko cięższa...

PRINZIVALLO. Nie myśl o niej... To nie pierwsza... Ale twoja... Pomyślą, że krew... (wyciąga rękę, aby odpiąć płaszcz).

VANNA (odsuwając jego rękę i otulając się szczelniej płaszczem). Nie, nie. Gianello... Nie jesteśmy już teraz nieprzyjaciółmi... Zimno mi.

PRINZIVALLO. Ach, zapomniałem, że musisz iść prawie naga zimną nocą. I ja, barbarzyńca, sam zażądałem tego... Tu są skrzyżnice, w których mieści się zdobyc wojen-

na... Są tu złotem tkane szaty, złotolite opończe...

VANNA (bierze pierwszą z wierzchu szatę i otula się nią). Dość tego... Trzeba czemprędzej ratować się ucieczką. Chodźmy, otwórz namiot! (Prinzivallo zbliża się razem z Vanną ku wyjściu i otwiera je. Ciszę nocną przerywa głucha wrzawa i daleki dźwięk dzwonów. Przez otwarte wejście do namiotu widać zdalą oświetloną Pizę, usłaną świątecznymi ogniskami, rzucającymi purpurową lunę na ciemny strop nieba).

PRINZIVALLO. Vanno, Vanno, patrz!

VANNA! Co to jest, Gianello? Ach, to wesołe ognie, płoną one, aby świecić twoje dzieło... Wszystkie mury są niemi usiane, wieża jarzy się, jak świąteczna pochodnia... Wszystkie wieże błyszczą jak gwiazdy... Ulice podobne do ognistych szlaków na niebie... Poznają ich kierunek, widzę tak wyraźnie ich odbicie, jak widziałam dzisiajszego raną bruki na nich. To katedra pizańska cała w ogniu. A to Campo Santo leży niby ciemna wyspa... Zda się, że życie, które już uciekło, wraca spieszenie, świeci na szczytach, połyskuje na kamieniach, przelewa się przez mury, zalewa całą okolicę i wzywa nas... Słuchaj, słuchaj!... Czy nie słyszysz wrzawy szalonego wesela, co jakby morze zalało Pizę?...

I dzwony śpiewają jak w dniu moich zaślubin... Ach, taka jestem szczęśliwa, podwójnie szczęśliwa, bo szczęście to zawdzięczam człowiekowi, który kochał mnie najwięcej ze wszystkich! Chodźmy, mój Giannelo! (całuje go w czoło). Oto jedyny pocałunek, jaki dać ci mogę.

PRINZIVALIO. O, moja Giovanno! To piękniejszy pocałunek, jaki mogła dać miłość!... Ale, co ci jest? Chwiejesz się... gną się pod tobą kolana! Oprzej się na mnie, połóż rękę na mojem ramieniu.

VANNA. To nic... Idę z tobą... To z radości...! Przeceniłam kobiece siły... Pomóż mi, nieś mnie, niech nic nie powstrzymuje moich pierwszych szczęśliwych kroków... Ach, jak piękną jest noc i świtająca jutrzeńka! Spieszmy, już czas... Musimy przyjść wcześniej, zanim umilknie wrzawa weselna... (Wychodzą połączeni uściskiem).

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

Sala świąteczna w pałacu Gwidona Colonna. Wysokie okna, marmurowe kolumny, portyki, jedwabne tkaniny na ścianach, i t. p. Na lewo, na drugim planie, wielki taras, wazon z kwiatami na balustradzie, wiodą nań podwójne zewnętrzne schody. W środku sali pomiędzy kolumnami prowadzi marmurowe stopnie na ten sam taras, z którego rozciąga się widok na część miasta.

SCENA I.

GWIDO, MARCO, BORSO i TORELLO
(wchodzi).

GWIDO. Postąpiłem jak chcieliście, jak chciała ona, jak chcieli wszyscy. Przyszła teraz kolej i na moją wolę. Milczałem, ukrywałem się, wstrzymywałem oddech, jak tchórz, kiedy złodzieje grabią jego dom. Byłem uczciwym w swojej podłości! Zrobiłście ze mnie handlarza, ściśle dotrzymującego warunków targu. Ale świta już jutrzeńka... Przez całą noc nie ruszyłem się z miejsca... Do dna wychyliłem czarę shań-

bienia. Trzeba było spełnić dokładnie warunki, należało uczciwie, co do grosza zapłacić za wasze zapasy. Cała ta szlachetna noc, do ostatniej chwili, należała naturalnie do kupującego! O, za taką ilość chleba, byków, jarzyn, cena nie była nadto wysoka! Teraz już ja zapłaciłem a wy napełniście wasze żołądki. Jestem znów wolny, znów odzyskałem władzę. Dość tej hańby!...

MARCO. Synu mój, nie wiem, jakie są twoje zamiary, nikt nie ma prawa zakłócać takiej, jak twoja, rozpacz... Nikt nie jest też w stanie ulżyć ci... Samo to szczęście nawet, przez zadany ci cios zrodzone, przysparza goryczy pierwszym twoim łzom—dobrze to rozumiem. Teraz, kiedy miasto już ocalone i my też gotowiśmy żałować, że ocalenie to okupione zostało tak wielką ofiarą. I bezwiednie spuszcza my oczy wobec tego, kto niesprawiedliwie dźwiga sam jeden cały ciężar tej ofiary. A jednak, gdyby dzień wczorajszy mógł powrócić, musiałbym postąpić tak samo, jak postąpiłem, żądać poświęcenia tych samych jednostek i wywołać te same niesprawiedliwości. Człowiek, który chce być sprawiedliwym, zmuszony jest z żalem czynić przez całe życie wybór pomiędzy dwiema lub trzema nierównymi niesprawiedliwościami... Nie wiem, co mam ci powiedzieć, ale, jeżeli głos mój, który

niegdyś był ci drogim, może po raz ostatni znaleźć posłuch w twojem sercu, ongi tak mu posłusznem, zaklinam cię, synu mój, abyś nie szedł ślepo za pierwszem wezwaniem gniewu i bólu. Zaczekaj, dopóki nie minie niebezpieczna godzina, w której wymawiamy wyrazy, nie dające się już cofnąć. Wkrótce powróci Vanna, nie sądź jej dziś, nie odtrącają, nie rób nieodwołalnych postanowień... Wszystko, co człowiek mówi lub czyni w chwili zbyt wielkiej rozpacz, jest już w sposób fatalny nie do poprawienia... Vanna powróci zrozpaczona. Nie czyn jej wyrzutów. Lepiej będzie, jeżeli nie zobaczysz jej zaraz po powrocie, o ile nie czujesz w sobie dość siły, aby mówić z nią tak, jak mówiłbyś po upływie wielu dni... Czas mija i obdarza nas, biednych ludzi, igraszki tyłu potęg, dużą dozą współczucia, sprawiedliwości i rozumu. Te tylko słowa mają znaczenie, które człowiek wypowiada wówczas, kiedy zrozumiał, wybaczył i nanowo pokochał—i o tych tylko słowach należałoby myśleć wtedy, gdy zasłania nas ból...

GWIDO. Skończyłeś, ojcze? Nareszcie! Doprawdy, nie czas teraz na miódopłynne frazesy, nikogo nimi nie omanisz. Pozwoliłem ci powiedzieć po raz ostatni wszystko, co miałeś mi do powiedzenia. Chciałem

wiedzieć, co da mi mądrość twoja wzamian za życie, tak kunsztownie przez nią złamaną. I oto, co mi ona ofiaruje!... Czekać, znosić, przyjmować, zapominać, wybaczać i płakać! O, nie! Tego zamało! Lepiej już być nierozsądnym. Hańbę moją nie słowami okupić należy! To, co mam zamiar uczynić, jest bardzo proste. Kilka lat temu, ty sam ojcie, zażądałbyś tego odemnie. Kto inny posiadał Vannę, Vanna nie należy więc do mnie, dopóki ten człowiek żyje. Nie mogę się kierować zdawkową moralnością. Idę za głosem wielkiego prawa, rządzącego każdym, w kim żywe jest serce. Piza już nie głodna i może się znów bronić. Otrzymała zapas broni, ja też o swoją część się upominam. Od dzisiejszego dnia żołnierze jej znów należą do mnie, przynajmniej najłepszy z nich, ci, których sam wybierałem i sam opłacałem. Nic więcej nie jestem jej winien i biorę to, co jest moją niezaprzeczoną własnością. Oddam miastu żołnierzy moich wtedy, kiedy spełnią oni to, czego mam prawo od nich żądać. A, co się tyczy reszty to... Vannie przebaczam a raczej przebaczę, gdy jego na świecie już nie będzie. Oszukano ją! Popeliła ona błąd, ale, rozumie się, błąd bohaterski. Nikczemnie wyszydzono jej współczucie, wielkość jej duszy. Przypuśćmy, że winą jej może

być zapomnianą a przynajmniej może ona tak utonąć w przeszłości, że miłość nie będzie mogła już jej odnaleźć. Ale istnieje człowiek, na którego od tej chwili patrzeć nie mogę bez wstydu i odrazy. Istnieje człowiek, który powinien był kierować wielkiem i szlachetnem szczęściem, który powinien był usuwać ciernie z jego drogi a który stał się jego wrogiem i katem. I ujrzyjcie oto rzecz niesłychaną, straszną a jednak sprawiedliwą: syna, który wpośród zachwianego w posadach świata, sędzi własnego ojca, przeklina, wyrzeka się go, wypędza, nienawidzi i pogardza nim!

MARCO. Przeklinaj mnie, mój synu, bylebyś jej przebaczył. Jeśli w oczach twoich bohaterski czyn, który ocalił tyle istnień, jest błędem nie do wybaczenia, to błąd ten jest moją wyłącznie winą, Vanna była tylko bohaterką. Rada moja była dobra, ale łatwo było dać ją, ponieważ nie przyjmowałem udziału w ofierze. Teraz, kiedy tracę wszystko, co miałem najdroższego, widzę, że rada ta była cenniejszą, niżby się здаwało. Sądziłeś zgodnie z głosem sumienia i ja sądziłbym tak samo, gdybym był młodszym. Odchodzę, dziecię moje, nie ujrzyś mnie więcej... Pojmuję, że widok mój sprawia ci ból, ale nie tracę nadziei widywania

cię chociaż z ukrycia. Odchodzę, nie spodziewając się nawet dożycia chwili, kiedy wybaczysz mi wyrządzoną ci krzywdę. Długo żyłem i wiem, że ludzie stojący w pośrodku drogi żywota, niełatwo i nieprędko wybaczą. Nie mam już nic, czego można byłoby mi pozazdrościć, pragnąłbym tylko mieć to przeświadczenie, że uniosłem z serca twojego całą nienawiść, całą żądzę zemsty, wszystkie bolesne wspomnienia i że ta, która wkrótce powróci, nie znajdzie już ich tam. Proszę cię o jedno tylko. Pozwól mi widzieć raz jeszcze jak rzuci się ona w twoje objęcia. Potem pójdę, nie skarżąc się i nie uważając cię za niesprawiedliwego. Człowiek najstarszy powinien słusznie brać na swoje barki największy ciężar ludzkich cierpień, gdyż pozostaje mu jeszcze kilka tylko kroków do kresu wędrówki, gdzie zdejmą zeń cały ładunek. (Podczas ostatnich słów słyhać zdala głąchą, ale silną wrzawę. Chwila milczenia. Wrzawa rośnie, zbliża się, staje się wyraźniejszą, zrazu jest to jakby szmer oczekiwania, potem dalekie powitalne okrzyki, posuwającego się naprzód tłumy. Wkrótce odróżnić można wśród masy pomieszanych dźwięków, tysiące razy powtarzany okrzyk: „Vanna“! „Vanna“! „Nasza Monna Vanna“! „Cześć Monnie Vannie“! „Nasza Monna Vanna“! „Vanna“! „Vanna“!

Marco biegnie ku portykowi, wiodącemu na taras). To Vanna! Wracal... Otóż i ona! Witają ją! Słyszycie, słyszycie? (Borso i Torrello wybiegają za nim na taras, Gwido stoi sam, oparty o kolumnę i patrzy w dal. Podczas następującej sceny krzyki wzmagają się i szybko zbliżają. Marco na tarasie mówi dalej). O, cały plac, wszystkie ulice, drzewa, okna, wszystko usiane jest ludzkimi głowami i wyciągniętymi na powitanie dłońmi! Jakgdyby wszystkie kamienie, liście i dachówki zamieniły się w ludzi! Ale gdzież jest Vanna? Widzę tylko rozsuwający się i zasuwający obłok. Borso, moje stare oczy odmawiają posłuszeństwa mojej miłości. Wiek, łyzy i bojaźń zaślepiają je. Nie odnajdują one tej jedynej istoty, którą pragną widzieć! Gdzież ona? Czy widzisz ją? W którą stronę mam biec jej naprzeciw?

BORSO (wstrzymując go). Nie, nie chodźcie, panie! Tłum jest zbyt zwarty i rozszalały. Depczą kobiety, obalają dzieci. Zresztą, to zbyteczne, Vanna będzie tutaj wcześniej, zanim zdążycie jej iść naprzeciw. Idzie tutaj, już jest. Podnosi głowę, zauważyła nas. Idzie spiesźnie, patrzy na nas i uśmiecha się.

MARCO. A więc widzicie ją! A ja wciąż jeszcze jej nie widzę! Ach moje nawpół

zmarłwiałe żrenice nie nie rozróżniają. Po raz pierwszy przeklinam starość; wskazała mi ona tyle rzeczy a teraz ukrywa przedemną Vannę! Widzicie ją! Powiedzcie mi, jak wygląda? Czy dostrzegacie jej twarz?

BORSO. Wraca tryumfująca. Opromienia, zda się, witający ją tłum.

TORELLO. A któż to idzie obok niej?

BORSO. Nie wiem. Nie mogę poznać. Twarz jego zakryta.

MARCO. Słyszycie ten zapach? Cały pałac drży i kwiaty spadają z wazonów na balustradę. Stopnie i marmurowe płyty podnoszą się prawie pod naszymi nogami, chcąc unieść nas w wir ogólnego wesela. Ach, nareszcie zaczynam i ja coś rozróżniać. Tłum zbliża się do kraty. Widzę, że rozstępuje się on w pośrodku.

BORSO. Tak, rozstępuje się przed Vanną. Zbliża się ona już, urządzają jej tryumfalne przejście. Rzucają jej pod stopy kwiaty, palmowe gałęzie, klejnoty. Matki wyciągają ręce, prosząc, aby dotknęła ich dzieci. Mężczyźni padają na ziemię i całują kamienie, po których stapały jej nogi. Strzeżcie się... zbliżają się... Nie odpowiadają za siebie. Poobalają nas, jeżeli docisną się do schodów. Na szczęście nadbiega ze wszzech stron straż i zagraadza wejście... Każe im

powstrzymać tłum i zamknąć wrota, jeżeli to jeszcze możebne.

MARCO. Nie! Nie! Niech fala radości rozleje się równie swobodna i niepowstrzymana jak w ich sercach! I cóż to szkodzi, że obala ona, gdy tak wielką jest miłość. Dość się nacierpieli, teraz ich ocalenie może znieść wszystkie przeszkody. O, mój biedny, mój dobry narodzie! Ja sam jestem upojony, sam gotów jestem krzyczeć z radości razem z tobą! O, Vanno, moja Vanno! Czy to istotnie ty, ty sama wstępujesz na te schody? (Rzuca się na jej spotkanie, ale Borso i Torello zatrzymują go). Wejdz, wejdz, Giovanni! Zatrzymują mnie, nie puszczają... boją się radości... Chodź, chodź, Vanno, jesteś piękniejszą od Judyty i czystsza od Lukrecyi! Wejdz, Vanno, cała obsypana kwieciami! (biegnie ku wazonom, rwie kwiaty pełnymi garściami i rzuca na schody). I ja mam kwiaty, któremi witam życie! I ja mam lilie, róże i laury, któremi wieńczę sławę! (Okrzyki zapachu stają się coraz szaleńsze).

SCENA II.

CIŻ, VANNA, PRINZIVALLO. (Vanna w towarzystwie Prinzivallo ukazuje się na schodach i zeszedłszy na ostatni stopień rzuca

się w objęcia Marca. Tłum zalewa falą całej schody, taras, portyki, ale trzyma się w pewnem oddaleniu od środkowej grupy, złożonej z Vanny, Prinzivalla, Borsa i Torella.

VANNA (rzucając się w objęcia Marca). Ojczy mój! jestem szczęśliwa!

MARCO (silnie ją ściskając). I ja jestem szczęśliwy, moje dziecko, ponieważ wróciłaś do nas. Pozwól, niech ci się przyjrzę... Promieniejesz całą, jakgdybyś zstępowała z niebios, święcących twój powrót. Straszny wróg nie zagasił ani jednego promienia twoich oczu, nie zmroził twojego uśmiechu.

VANNA. Ojczy opowiem ci... Ale gdzież jest Gwido? Przedewszystkiem muszę użyć jego sercu... Nic jeszcze nie wie...

MARCO. Chodźmy, Vanno, Gwido jest tutaj... Idź, ja zostałem odtrącony i kto wie, może sprawiedliwie. Ale tobie została darowana twoja szlachetna wina i ja sam chcę popchnąć cię w jego objęcia, aby ostatnie moje spojrzenie padło na waszą miłość... (W tej chwili Gwido postępuje o jeden krok naprzeciw Vannie. Chcę ona przemówić i robi ruch, aby rzucić się w jego objęcia. Ale Gwido szorstkim ruchem zatrzymuje ją i odtrąca).

GWIDO (zwraca się do otaczających, ostrym

i rozkazującym tonem). Zostawcie nas samych!

VANNA. Nie! nie! zaczekajcie! Gwidonie, ty nie wiesz... Zaraz ci opowiem, opowiem wszystkim... Gwidonie powracam nieskalana i nikt...

GWIDO (przerywa jej, odtrąca ją i mówi, podnosząc stopniowo głos pod wpływem gniewu, coraz silniej go opanowującego). Nie zbliżaj się do mnie, ty... Nie dotykaj mnie... (odtrącając tłum, który zaczął przedostawać się do sali i który cofa się przed nim). Słyszeliście? Proszę was, abyście się oddalili i zostawili nas samych. Jesteście panami u siebie, tutaj ja jestem panem! Borso i Torello, wezwijcie straż... A, rozumiem was, po uczcie pragnęlibyście jeszcze mieć widowisko. Ale nie będziecie go oglądać, nie dla was ono, nie jesteście go godni... Macie mięso i wino, zapłaciłem za was wszystkich, na co jeszcze czekacie? Ból mój chyba możecie mnie pozostawić... Idźcie, pijcie i jedzcie! Ja mam inne troski, ale łez moich nie zobaczycie... Idźcie precz, mówię! (Milczący ruch wśród tłumu, oddalającego się powoli). Część zostaje jednak?! Idźcież (bierze ojca za rękę). I ty także, ty przedewszystkiem! Ty głównie, bo twoja to wina! Nie zobaczysz moich łez! Ach, chcę być sam, sam jak w grobie, więcej

niż w grobie... Muszę nareszcie zrozumieć, czego mi potrzeba... (zauważywszy Prinzival-la, który nie ruszył się z miejsca). A ty? Kto jesteś? Czemu tu stoisz jak osłonięty posąg? Ktoś ty—hańba, czy śmierć, która na mnie czyha? Odejdz, czy nie rozumiesz? (bierze halabardę od jednego z żołnierzy). Cóż to? Czy mam cię wypędzić halabardą? Chwytasz za rękojeść szabli? I ja mam szablę, ale nie użyję jej w tej chwili... Potrzebna mi ona dla jednego, jedynego człowieka, tylko dla jednego... A on.. Ale dla czego zasłaniasz głowę? Nie mam wcale ochoty bawić się w maskaradę... Nie odpowiadasz?... Chcę cię widzieć, coś ty za jeden? Zaczekaj! (chce zerwać z niego płaszcz, Vanna rzuca się pomiędzy nich i zatrzymuje Gwidona).

VANNA. Nie dotykaj go!

GWIDO (zdumiony, cofa się). A! Vanna! Ty... Vanna?! Zkąd się bierze do ciebie tyle siły?

VANNA. To on ocalił mnie.

GWIDO. Ha! ha... ocalił... ocalił potem... gdy było już zapóźno... Dokonał wielkiego, bohaterskiego czynu. Lepiej byłoby...

VANNA (gorączkowo). Daj mi nareszcie przyjść do słowa, proszę cię, Gwidonie... Zrozumiesz odrazu... On mnie ocalił, pojmujesz?! Nie tknął, ulitował się. Nie do-

tknął mnie... Nikt mnie nie dotknął... Przyszedł tutaj pod moją strażą... Dałam mu słowo, twoje słowo, nasze słowo... Wracam równie czysta, jaka poszłam! Wstrzymaj się, dopóki gniew twój... Pozwól, abym ci opowiedziała... Nie bój się... Lepiej, abyśmy wszyscy... Nie wyrzekł ani jednego słowa, nie uczynił ani jednego ruchu, które mogłyby...

GWIDO. Ale któż on jest? Kto?

VANNA. To Prinzivallo.

GWIDO. Co? On? Jakto?... Ten?... To Prinzivallo?...

VANNA. Tak, tak, jest twoim gościem. Zaufał ci. To nasz wybawca!

GWIDO (stoi przez chwilę osłupiały z przerażenia, potem zaczyna mówić prędko z rosnącym roznamiętnieniem, niepozwalającem Vannie przerwać potok jego słów). A!... więc tak, moja Vanno! O, to niby rosa przeczyta, spadająca z nieba! O, Vanno, moja Vanno! Jesteś piękna! Kocham cię, zrozumiałem cię nareszcie! Tak, miałaś słuszość! Jeśli to było nieuniknione, należało tak właśnie postąpić! Ach, rozumiem twój wzniosły podstęp, jeszcze wznioślejszy niż twoja wina! Nie wiedziałem, nie mogłem przewidzieć!... Inna zabiłaby go, jak Judyta Holofernesa... Ale jego zbrodnia jest straszniejsza, niż zbrodnia Holofernesa i do-

maga się okrutniejszej zemsty... Sprowadzić go do jego ofiar, które zamieniają się w jego katów... Jaki wspaniały tryumf! Szedł, wabiony twojami pocałunkami, łagodnie, potulnie, niby baranek za kwitnącą gałązką!... Cóż znaczą dla nas pocałunki, podyktowane przez nienawiść!... Wpadł w zasadzkę... Doskonale zrobiłabyś! gdybyś go zabiła tam, w jego namiocie, zaraz po dokonanej zbrodni, byłoby to zamało, mogłaby pozostać jeszcze wątpliwość, nikt nie widziałby tego. Wszyscy wiedzieli o ohydny handlu; trzeba, aby się wszyscy dowiedzieli, czym się okupuje takie straszne urąganie naturze ludzkiej... Ale w jaki sposób udało ci się to zrobić? To największy tryumf dla honoru kobiety?... Aha, sama im powiesz! (Biegnie na taras i woła piorunującym głosem). Prinzivallo! Prinzivallo! Wróg w naszych rękach!

VANNA (chwytając go, stara się go wstrzymać). Nie, nie, słuchaj... Nie zrozumiałeś!... Gwidonie, błagam cię... Mylisz się, Gwidonie!...

GWIDO (wyrywa się z jej rąk i krzyczy jeszcze głośniej). Puść mnie! Zobacysz! Muszą się wszyscy dowiedzieć... (zwracając się do tłumu). Chodźcie, wróćcie się!... I ty także, ojczu! Niepotrzebnie wychylasz trwożliwie głowę z poza kolumny. Podpatrujesz,

czy bożek jakiś nie zajmie się moim losem, aby naprawić krzywdę przez ciebie wyrządzoną i przynieść nam ukojenie? Wróć się! Już nastał pokój! Wielki cud spełniony! Niech kamienie nawet usłyszą i zapamiętają to, co tu zaraz zajdzie. Już nie kryję się przed światem, zmyto ze mnie piętno hańby! Wyjdę stąd czystym jak najczystsiej i szczęśliwym jak ci, co nie zaznali utraty! Możecie witać moją Vannę! Ja także witam ją wraz z wami i głośniej od was wszystkich! (wpychając do sali tłum, tłoczący się na tarasie). Tym razem i wy będziecie mieli widowisko! Istnieje jednak na świecie sprawiedliwość! Ach, wiedziałem o tem, ale nie sądziłem, że tak prędko będzie ona święciła swój tryumf. Myślałem, że będę musiał czekać na nią przez długie lata, że będę szukał jej przez całe życie, że będę zmuszony tropić ją wszędzie, na skrajach ścieżynek, w gąszczach lasów, na bruku ulicznym... I oto, nagle zjawia się ona przedemną, tutaj w tej sali, przed nami, na tych samych stopniach! Jakimże cudem?... Zaraz się o tem dowiemy... Cud ten jest zasługą Vanny! Sprawiedliwość przyszła, dokona więc swojego dzieła (zwraca się do ojca, ujmując go za rękę). Czy widzisz tego człowieka?

MARCO. Tak. Któż to jest?

GWIDO. Wszak widziałeś go, mówiłeś z nim, byłeś jego dobrowolnym posłem... (Prinzivallo odwraca głowę do Marca, który go poznaje).

MARCO. Prinzivallo! (poruszenie wśród tłumu).

GWIDO. Tak, to on, on sam, nie może być wątpliwości co do tego... Zbliźcie się, przyjrzyjcie mu się, dotknijcie go, pomówcie z nim; może zechce dać nowe jakieś zlecenie... Czy nie miałem słuszności, prorokując nam spełnienie się cudu?... Nie bójcie się, chodźcie bliżej, już on nam się nie wymknie. Zamknijcie tylko drzwi, żeby nowy jaki cud nie pozbawił go nas! Ale nie ruszajmy go tymczasem! Da on nam jeszcze dużo chwil rozkoszy... Przyjrzyjcie mu się, moi biedni bracia. To on był przyczyną waszych męczarni, chciał was wytępić, sprzedawał wasze żony i dzieci! Teraz on mój, on wasz, on nasz!... Zaraz wam go oddam... (zwracając się wprost do tłumu). Jesteście tu wszyscy, będziecie świadkami... Wszystko musi być wyjaśnione... Czy zrozumieście ten cud, to bohaterstwo? Vanna należała do niego. Nie było innej drogi... wy wszyscy żądaliście tego, sprzedaliście ją... Nie przeklinam nikogo... Co się stało, odstać się nie może, mieliście prawo przenieść wasze życie nad moje biedne szczęście... Ale cóż jesteście w stanie uczynić, aby

wskrzесиć zabita miłość? Wy umieliście tylko zgubić; teraz trzeba było odrodzić... I oto Vanna dokonała tego. Postąpiła lepiej niż Lukrecya albo Judyta! Lukrecya zabiła siebie, Judyta zabiła Holofernesa... To zbyt proste, zbyt tajne... Vanna nie zabija nikogo pod osłoną namiotu, ona sprowadza ofiarę tutaj, aby żywcem wydać ją ludowi na rozszarpanie. My sami zetrzemy piętno hańby, które sami wycisnęliśmy na jej czole... W jaki sposób dokonała tego? Zaraz nam powie...

VANNA. Tak, powiem wam, ale zupełnie co innego!...

GWIDO (przerywając Vannie, ściska ją). Pozwól, niech cię wpierw uścisknę, aby wszyscy widzieli...

VANNA (odtrącając go silnym ruchem). Nie, nie, nie jeszcze! Nie, nigdy więcej, jeżeli mnie nie wysłuchasz! Słuchaj więc, Gwidonie! Wchodzi tu w grę prawdziwy honor i inne szczęście, nie to, które zamąciło twój rozum! Rada jestem, że wszyscy powrócili... Wysłuchają mnie prędzej może, niż ty i lepiej niż ty mnie rozumieją! Wysłuchaj mnie, Gwidonie, nie pozwolę się uściskać zanim się nie dowiesz!

GWIDO (obejmuje ją znów, przerywając). Dowiem się, dowiem, ale przedewszystkiem...

VANNA. Ale słuchajże, mówię. Nie kłama-

łam nigdy, ale dzisiaj wyznam całą prawdę, taką prawdę, jaką się mówi raz jeden w życiu, prawdę, która zabija, albo darzy życiem... Słuchaj, Gwidonie i patrz na mnie, jeżeli nie widziałeś mnie dotychczas. Teraz możesz po raz pierwszy i jedyny pocałować mnie tak, jak chcę być kochaną... Przemawiam teraz w imię naszego życia, w imię wszystkiego, co jest we mnie, wszystkiego, czem ty dla mnie byłeś... Wznies się do uwierzenia w to, co wydaje się nieprawdopodobnem... Ten człowiek nie posiadał mnie... Niczem nie był skrupowany... oddano mu mnie... A jednak wychodzę z jego namiotu, jak z domu brata... Nie dotknął mnie nawet!

GWIDO. Dlaczego?

VANNA. Bo kocha mnie!

GWIDO. Aa... Więc to chciałaś nam powiedzieć!... To jest ten cud! Tak, tak, od pierwszego już słowa poczułem coś niepojętego. Olsniło mnie to jak błyskawica. Nie zastanawiałem się... Przypisałem to twemu pomieszaniu, przerażeniu, które zamąciło jasność twoich myśli... Ale teraz widzę, że należy prościej tłómaczyć sobie te sprawy... (zmieniając ton na spokojniejszy). A więc przychodzisz do niego, do jego namiotu, sama, prawie naga, spędzasz tam całą noc i powiadasz, że on nie posiadał ciebie?!

VANNA (z siłą). Nie!

GWIDO. Nie dotykał ciebie, nie tulił w ob-

VANNA. Raz jeden tylko pocałowałam go w czoło a on odwzajemnił mi się tem samem...

GWIDO. W czoło!... W czoło!... Przypatrz mi się, Vanno! Czy wyglądam na człowieka, którego można przekonać, że gwiazdy—to ziarna soczewicy, że można zagasić księżyc, splunawszy do źródła?! Czem dałem ci powód?... Nie! zamilknę raczej... Nie chcę gubić nas bezpowrotnie... Nie rozumiem, jaki masz w tem cel... A może w odcięcie tej nocy zachwiał się twój rozum, albo mój...

VANNA. To nie bredzenie chorego mózgu, to prawda najrzeczywistsza.

GWIDO. Wielki Boże! Prawda?. Ja szukam tylko prawdy! Ale musi ona przecież być chociaż jakotako zrozumiałą, ludzką!... Jaktó! On pożąda ciebie do takiego stopnia, że zdradza ojczyznę, sprzedaje wszystko za jedną noc, gubi się na wieki, haniebnie się gubi, odważa się na to, na co się nikt nigdy nie odważył, odcina się od całego świata!... I ty jesteś w mocy tego człowieka, sama jedna, naga w jego namiocie, nic mu nie pozostaje prócz tej nocy, kupionej za taką cenę... i człowiek ten zadawała się jednym pocałowaniem w czoło i przy-

chodzi tutaj zapewnić nas o tem?... Nie, wszystko ma swoje granice!... Nie urągaj tak długo mej rozpacz... Jeżeli nie żądał on niczego innego, czemuż kazał całemu narodowi przeżyć taką noc, czemuż pogrążył mnie w taką otchłań bólu, który omal nie przyprowadził mnie o utratę rozumu i który postarzył mnie o dziesięć conajmniej lat? Ach, gdyby dość było mu pocałowania w czoło, mógłby był ocalić nas, nie zadając nam takich katuszy. Zjawiłby się do nas sam, jak Bóg, ze zbawczą wieścią! A tymczasem on... Nic... W ten sposób nie żąda się pocałowania w czoło, tak nie przygotowuje się do niego. Prawdę odsłaniają nasze jęki, nasza rozpacz... Nie, nie mogę być sędzią!... ta sprawa jest moją osobistą sprawą i trudno mi jest rozstrzygać ją z całą jasnością... Niech inni sądzą i rozstrzygają za mnie! (zwracając się do tłumu). Słyszeliście?... Nie wiem, dlaczego ona tak mówi... Ale to, co mówiła, jest powiedziane, sądzcie więc!... Wy powinniście jej wierzyć, ocaliła was przecież! Powiedzcie więc, czy jej wierzycie? Niech ten, kto wierzy jej, wyjdzie z tłumu i obali wobec nas zdrowy sens ludzki! Ciekaw byłbym przyjrzeć się mu! (Marco sam jeden wychodzi z tłumu, wśród którego słychać tylko nieśmiały, niewyraźny szept).

MARCO (występuje spiesźnie na środek sceny). Ja jej wierzę.

GWIDO. Ty jesteś ich współnikiem... Ale reszta, inni? Gdzie są? Kto jej wierzy? (do Vanny). Słyszysz? Ocaliłaś ich a jednak i oni boją się tego śmiechu, który ogłuszyłby salę... nawet ci, którzy coś tam szeptałi, nie mają odwagi wystąpić... A ja, ja muszę...

VANNA. Oni nie mają obowiązku wierzyć mi, ale ty, ty przecież mnie kochasz!

GWIDO. A! Ja kocham cię i dlatego mam nie widzieć kłamstwa!...

VANNA. Spójrz na mnie, Gwidonie... Wkładam w to ostatnie spojrzenie całą moją siłę, całą moją uczciwość, wszystko, co ci zawdzięczam!... Ten człowiek nie posiadał mnie! To jest prawda!

GWIDO. Dobrze, bardzo dobrze!... Więcej niczego mi nie potrzeba... Teraz wiem już wszystko... Tak, to jest prawda, albo właściwiej miłość... Teraz rozumiem! Chciałaś go uratować!... Nie pojmuję, w jaki sposób jedna noc mogła do tego stopnia zmienić kobietę, którą tak kochałem... Ale musiałaś go ratować, inaczej bowiem... (podnosząc głos). Wy wszyscy, słuchajcie mnie!... po raz ostatni! Złożę za chwilę uroczystą przysięgę! Chwytam się jeszcze skraju bezdennej prze-

paści... Jeszcze chwila a ręce moje stracą ostatni punkt oparcia... Nie chcę gubić jej... Czy słyszycie mnie? Głos mój utracił całą siłę... Zbliżcie się jeszcze, jeżeli nie słyszycie. Czy widzicie tę kobietę i tego człowieka? Ci ludzie kochają się—to rzecz jasna. Otóż, pamiętajcie... ważę każde słowo, jak liczy się krople lekarstwa przy łożu umierającego: wyjdą oni ztąd za moją zgodą, swobodnie, bez przymusu, bez gwałtu, bez obelg, zabiorą z sobą wszystko, co zechcą. Przepuście ich. Witajcie ich, rzucajcie im kwiaty, jeżeli chcecie... pójdą tam, dokąd zawiedzie ich szal miłości... niech tylko ta kobieta, która była niegdyś moją żoną, wyzna mi prawdę, jedyną możliwą prawdę! Tylko to jeszcze kocham w niej, tylko tem jeszcze zapłaci mi ona za wszystko, co dla niej uczynię?... Czy zrozumiałaś, Vanno? Czy człowiek ten posiadał ciebie? Tak, czy nie? Odpowiedz mi, więcej niczego nie żądam... To nie próba, nie zasadzka. Złożyłem przysięgę, oni wszyscy są świadkami!

VANNA. Powiedziała prawdę... nie dotknął mnie!...

GWIDO. Dobrze. Powiedziałaś. Sama wydałaś na niego wyrok. Teraz wszystko przepadło. Budzę się nareszcie (dochodzi do straży i wskazuje jej Prinzivalla). Człowiek ten należy do mnie, weźcie go, zwiąż-

cie, zaprowadźcie do najgłębszego podziemia pod tą salą... Zejdę tam za wami (do Vanny). Nie ujrzycie go, pani, więcej a ja przyjdę powiedzieć wam rzeczywistą prawdę, której wkrótce dowiemy się z ostatnich jego słów.

VANNA (rzucając się w sam środek straży która otoczyła Prinzivalla). Nie! nie! on mój! Skłamałam! skłamałam! On posiadał mnie! posiadał! posiadał! (odpychając straż). Odejdźcie! Nie odbierajcie mi mojej zdobyczy! Należy on do mnie wyłącznie! Chcę własnymi rękami!... Podle, nikczemnie, podstępnie posiadał mnie, tak, posiadał mnie!

PRINZIVALLO (starając się zagłuszyć jej głos). Ona kłamie! Kłamie, żeby mnie uratować, ale żadne tortury...

VANNA. Milcz! (zwraca się do tłumu). Boi się! (zbliża się do Prinzivalla pod pozorem związania mu rąk). Dajcie mi tu sznury, łańcuchy, kajdany! Teraz, kiedy nienawisć moja znalazła ujście, ja sama go zakuję, ja sama go wydam (szeptem do Prinzivalla, wiążąc mu ręce). Milcz! To nas uratuje... Pozwól się związać... Jestem twoją, kocham cię!... Daj się związać... Będę twoją strażą, uwolnię cię, uciekniemy... (krzyczy, jakgdyby chcąc zmusić Prinzivalla do milczenia) Milcz!... (do tłumu). Spójrzcie na jego twarz. Znać na niej jeszcze ślady tej strasznej nocy? (odchylając swój płaszcz na zakrwawio

nem ramieniu). I ja mam znak! Straszna noc miłości! Przyjrzyjcie mu się! To on! Straszny i podły! (widząc, że straż chce uprowadzić Prinziwalla). Nie, nie, zostawcie mi go! To moja zdobycz! Chcę, aby należał do mnie wyłącznie! Strzeżcie go! Trzymajcie... Widzicie, chce uciekać!...

GWIDO. Poczóż on przyszedł? W jakim celu kłamałaś?

VANNA (waha się, dobierając słów). Skłamałam... nie wiem... nie chciałam mówić... Słuchaj teraz... Tak, tak, ty zrozumiesz wszystko... Nie zawsze człowiek wie, co czyni... Nie można przewidzieć... Idąc tam, nie myślałam... ale zdarzają się takie rzeczy... Tak, tak, teraz się dowiesz, załamała zerwana! Tem gorzej dla ciebie, sam zażądałeś... Byłam się ciebie... Byłam się twojej miłości i twojej rozpacz. Ale ty sam chcesz... więc dobrze! Powiem ci... (głosem spokojniejszym i pewniejszym). Nie, nie, nie kierowała mną ta myśl, którą podejrzewałeś. Nie miałam zamiaru sprowadzenia go do okrutnych katów w celu wspólnego pomśzczenia się na nim... Myśl moja nie była tak piękną, ale za to więcej cię kochałam... Wiodłam go na okrutną śmierć, ale chciałam, aby haniebne wspomnienie tej hańbiącej nocy nie ciążyło nad tobą do końca naszych dni. Zemściłabym się na nim sama,

w ciszy i mrokach nocy. Zabijałabym go powoli, stopniowo, dopóki jego krew, spadając kropla po kropli, nie zmyłaby jego zbrodni... Nie dowiedziałbyś się nigdy strasznej prawdy i okropne wspomnienie nie stałoby jak cień, zatruwający nasze pocałunki... Byłam się, wyznaję, że ty, odtwarzając w pamięci ten straszny obraz, nie będziesz mógł mnie już kochać... Było to szaleństwem, wiem, żądałam zbyt wiele... żądałam rzeczy niemożliwych!... Ale dowiesz się całej prawdy... Tyle już powiedziano, że nie czas mieć względy dla naszej miłości, teraz musicie zrozumieć... Powiem wszystko a wy będziecie sędziami!... Postąpiłam w ten sposób: człowiek ten posiadał mnie podle, nikczemnie, mówiłam wam to już!.. Chciałam go zabić, walczyliśmy zażarcie... Ale on wytrącił mi broń z ręki. Wtedy przyszła mi myśl pomśzczenia się w sposób nierównie okrutniejszy i... uśmiechnęłam się do niego. Uwierzył mojemu uśmiechowi... Ach, wszyscy mężczyźni są szaleni!... Trzeba ich okłamywać. Uwielbiają oni kłamstwo! Gdy wskazuje się im życie, sądzą, że to śmierć? Gdy ofiaruje się im śmierć, przyjmują ją za życie! I on sądził, że posiadał mnie a w rzeczy samej ja nim zawładnęłam. Teraz leży już w grobie i ja sama grób ten zamuruję. Sprowadziłam go, wabiąc pocałunkami, jak po-

słuszne jagnię!... Teraz jest już w mojej mocy i nie go z rąk moich nie wydrze. O, mój piękny Prinzivallo! Poznasz takie pocałunki, jakich nikt jeszcze nie zaznał.

GWIDO (zbliżając się). Vanno!

VANNA. Przyjrzyj mu się lepiej! Jest pełen nadziei! Przed chwilą jeszcze uwierzył mi, kiedy mu powiedziałam: „kocham cię, Prinzivallo“! Poszedłby był za mną chociażby do piekła!... Tak go całowałam! (namiętnie całuje go). Kocham cię, Gianello! Pocałuj mnie! To pocałunki prawdziwej miłości! (zwracając się do Gwidona). I teraz jeszcze całuje mnie! Ach, jak blisko od tej grozy do śmiechu!... Teraz on mój, Stwórco! Mój wobec Boga i ludzi! Chcę, żeby był moim i będzie moim. To nagroda za moją noc, wspaniała nagroda! (Chwieje się, opiera o kolumnę). Boże, ja padam! Nie wytrzymam tej radości! (bez tchu prawie). Ojcze, powierzam ci go, dopóki moje siły... Każ go wyprowadzić, zanim... Niech wynajdą w podziemiach taki loch, do którego nikt nie mógłby... A klucz u mnie będzie! Niech mi go natychmiast oddadzą! I niech nikt nie śmie go dotknąć!... To moja zdobycz, chcę nią władać bezpodzielnie! Gwidonie! on do mnie należy! (zbliża się do Marca). Ojcze, on do mnie należy i ty mi za niego odpowiadasz! (Wpatruje się badawczo w Mar-

ca). Rozumiesz, ojczu? Jesteś jego stróżem! Niech cię nawet obrazy nie dotkną jego oblicza, niech mi go oddadzą nietkniętym, kiedy będę miała dość sił do pomstczenia się! (wyprowadzają Prinzivallo). Żegnaj, mój Prinzivallo! O, zobaczymy się jeszcze! (W chwili, kiedy Gwido i żołnierze wyprowadzają Prinzivallo, Vanna wydaje okrzyk, chwieje się i pada na ręce Marca, który przybiegł jej na pomoc).

MARCO (szybko, półgłosem, pochylając się ku Vannie). Tak, Vanno, zrozumiałem... zrozumiałem twoje kłamstwo... Zrobiłaś więcej, niż człowiek zrobić może... Życie ma swoje prawa... Obudź się, Vanno! Trzeba kłamać dalej, ponieważ nam nie wierzą! (woła Gwidona). Ona cię wzywa, Gwidonie... Vanna wraca do przytomności...

GWIDO (przybiega i bierze Vannę w objęcia). Moja Vanno!... Uśmiecha się... Vanno moja, odpowiedz, otwórz oczy, Vanno... Spójrz na mnie... Nigdy nie wątpiłem... Teraz wszystko pogrzebane i wszystko będzie zapomniane w szale zemsty... Wszystko to było tylko przykrym snem...

VANNA (otwierając oczy, słabym głosem). Gdzie on? Tak, tak, wiem... Ale dajcie mi klucz... klucz od więzienia. Nie chcę, aby kto inny...

GWIDO. Straż zaraz powróci... Przyniesie ci klucz.

VANNA. Chcę mieć ten klucz u siebie, chcę wiedzieć, że nikt inny... To był przykry sen... Teraz zacznie się piękny... Teraz zacznie się piękny!...

Zasłona spada.

KONIEC.

AGLAWENA I SELIZETA.

DRAMAT

O S O B Y:

MELEANDER.

AGLAWENA.

SELIZETA.

MELIGRANA, babka Selizety.

MAŁA ISSALINA, siostra Selizety.

AKT PIERWSZY.

SCENA JEDYNA.

Sala zamku. Widać Meligranę uspioną na krześle wysokiej poręczy, w samej głębi sali.
Wchodzą: Meleander i Selizeta.

MELEANDER. Oto list Aglaweny (czyta). „Nie wychodźcie na moje spotkanie. Czekać na mnie w sali, gdzie oczekujecie zazwyczaj na wybiecie godziny odpoczynku, nie będę wtedy przynajmniej wyglądała na obcą. Piszę wam to wysiadając z okrętu, który mnie niósł do was. Droga była bardzo pogodna i bardzo piękna ale wylądowawszy, zastałam drogi popsute przez deszcze; prawdopodobnie słońce już zajdzie zanim spostrzęgę wieże starego zamku, gdzie pocziwa Selizeta ofiarowała schronienie wdowie swego brata.”

SELIZETA. (Klaszcząc w dłonie). O! słońce zachodzi!.. Patrzajże. Ona musi już być gdzieś bardzo blisko... Idę zobaczyć...

M. Maeterlinck. Aglawena i Selizeta

MELEANDER (powstrzymując ją gestem i czytając dalej). „...Widziałam cię raz jeden tylko, Meleandrze, pośród rozgwaru i zamieszania mego wesela: — mego nieszczęsnego wesela, niestety! gdzie nie dostrzegamy współbiedniaka, którego nie zaprasza się nigdy a który zasiada zawsze tam, gdzie oczekuje się na szczęście. — Widziałam cię raz tylko, lat trzy przeszło temu a jednak przychodzę do ciebie z mniejszym niepokojem niż przychodziłabym wówczas, gdybyśmy jako niemowlęta zasypiali w tejże samej kołysce...

SELIZETA (odwracając się). O! Babka śpi jeszcze! Czy nie trzeba będzie jej zbudzić skoro Aglawena przybędzie?...

MELEANDER. Trzeba; prosiła o to...

SELIZETA. Białe włosy przysłoniły jej oczy... Nie jest snąc szczęśliwą tego wieczora... O! muszę ją ucałować...

MELEANDER. Ostrożnie; nie obudź jej przed czasem... (czytając dalej) „...Pewna jestem że odnajdę brata!... Nie powiedzieliśmy sobie nic niemal, ale te kilka słów, którymi przemówiłeś do mnie, były różnemi od wszystkich tych, jakie słyszałam dotychczas...

SELIZETA. Nie czytaj tak prędko...

MELEANDER (czytając dalej). „...A potem spieszo mi ucałować Selizetę!... Musi być taką dobrą, musi być taką piękną, skoro

cię kocha i skoro ty ją kochasz! Będę ją kochać więcej niż ty możesz ją kochać kiedykolwiek, bo ja kochać umiem więcej; byłam przecież nieszczęśliwą... A teraz szczęśliwą się czuję tem, żem cierpiała; będę mogła podzielić się z wami tem wszystkim, czego nabywa się w smutku. Wydaje mi się czasami, że haracz, który opłaciłam, wystarczy na nas wszystko troje; że los nie będzie miał już nic do żądania i że spodziewać się możemy cudownego prawdziwie życia. Nie będziemy troszczyć się o nic prócz o szczęście. I dla ciebie i dla Selizety również; wedle tego, coś mi mówił o tem, choć mówiłeś tak niewiele, szczęście leży w tem tylko, co jest najlepszego w duszach naszych. Nie będziem już mieć innej troski nad tę, by stać się najpiękniejszymi po to, aby móżd kochać się wszystko troje więcej jeszcze; i stanemy się dobrymi siłą tego ukochania. Tyle włożymy piękna w siebie samych i dokoła nas, że zbraknie już miejsca na nieszczęście i smutek; a jeśli, mimo wszystko zechcą one wkroczyć w nasze życie, będą musiały chyba same stać się pięknymi także, zanim ośmielą się zapukać do drzwi naszych...” (Jedne z drzwi otwierają się, wchodzi mała Issalina).

ISSALINA. Mam klucz, siostrzyczko, mam klucz!...

MELEANDER. Jaki klucz?

SELIZETA. Klucz od dawnej latarni morskiej.

MELEANDER. Zdawało mi się, że ci zginął...

SELIZETA. Kazałam doroobić inny.

MELEANDER. Życzę ci, żebyś zgubiła go również...

SELIZETA (przypatrując się kluczowi). O! jakież wielki!.. Nie podobny wcale do tamtego, który zgubiłam...

ISSALINA. Byłam przy tem, siostrzyczko, kiedy go próbowano... Otworzono trzy razy a potem zamknięto za każdy raz znowu... Daleko lepiej chodzi niż tamten klucz, co był jakiś całkiem zardzewiały... Ostatni raz jednak z trudnością tylko drzwi zamknięto, bo je wiatr popychał z tamtej strony... Okropny wiatr jest dzisiaj wieczór. Słysząc krzyk mew dokoła wieży; i gołębi także... Nie układały się jeszcze na spoczynek...

SELIZETA. Szukają mnie z pewnością; już przeszło dwa tygodnie nie widziały mnie tam u góry... Jutro tam pójde.

ISSALINA. Ze mną, siostrzyczko?

SELIZETA. Tak; jeśli położysz się spać zaraz; twoja niańka czeka na ciebie, (Issalina wychodzi). Czy ona piękna?

MELEANDER. Kto?

SELIZETA. Aglawena.

MELEANDER. Tak, bardzo piękna...

SELIZETA. Do kogo jest podobną?

MELEANDER. Nie jest podobną wogóle do innych kobiet... To inna piękność, różna zupełnie, oto wszystko... piękność dziwniejsza jakaś i bardzo duchowa; piękność zmienniejsza i że tak powiem, liczniejsza jakaś...piękność która pozwala na zewnątrz przedostać się duszy, nigdy nie przerywając jej mowy... A potem, zobaczysz, ona ma szczególniejsze włosy; powiedziałbyś, że włosy te biorą udział w każdej jej myśli... Uśmiechają się lub płaczą, wedle tego czy ona jest szczęśliwą, czy też smutną, wówczas nawet, kiedy nie wie sama jeszcze czy ma się czuć szczęśliwą, lub czy też winnaby się smucić... Nigdy nie widziałem włosów, coby tak żyły. Zdradzałyby ją bezustannie, gdyby zdradą było odsłaniać piękno, jakie ktoś chciałby być ukryć; bo ona nie innego nigdy nie ma do ukrycia...

SELIZETA. Ja wiem, że nie jestem piękną...

MELEANDER. Nie będziesz tego już mówić skoro ona tu z nami będzie. Niepodobieństwem jest wypowiedzieć w jej obecności coś takiego, czego się nie myśli, lub coś, co jest bezpotrzebnem choćby tylko. Ona gasi dokoła siebie wszystko, co nie jest prawdą...

SELIZETA. Gasi dokoła siebie wszystko, co nie jest prawdą.

MELEANDER. Selizeto?

SELIZETA. Co Meleandrze?

MELEANDER. Bez mała lat cztery, o ile mi się zdaje, jak żyjemy z sobą?...

SELIZETA. Z końcem lata będzie lat cztery.

MELEANDER. Blisko więc cztery lata jak cię mam u swego boku, zawsze tak piękną, zawsze kochającą i słodką, z uśmiechem głębokiego szczęścia na ustach... Nie płakałaś zbyt często chyba, nieprawdaż, przez te lat cztery? Co najwyżej może miałaś w oczach łezki, kiedy który z ulubionych twych ptaków odleciał, kiedy cię babka twoja złażała cokolwiek, lub kiedy uwiedły upodobane ci kwiaty. Ale skoro ptak powrócił, skoro babka dała się ułagodzić a kwiat został zapomniany, powracałaś do tej sali, pełna głośniego śmiechu; i drzwi zapadały z trzaskiem, okna roztwierały się, różne przedmioty spadały zewsząd, kiedy skokiem rzucałaś mi się na kolana, ściskając mnie i całując jak dziewczynka, co powraca wyswobodzona ze szkoły. Zdaje mi się, że można powiedzieć, iż byliśmy szczęśliwi; a przecież czasami zadaję sobie pytanie czy żyliśmy dosyć zbliżeni jedno do drugiego... Nie wiem czy to ja nie miałem tyle cierpliwości, by biedz za

tobą, czy też to ty chciałaś uciekać zbyt prędko; bardzo często jednak, kiedy próbowałem mówić z tobą jak mówię ot teraz, zdałaś się odpowiadać mi gdzieś z drugiego końca świata, dokąd chroniłaś się z przyczyn, których ja nie pojmuję... Czyliż istotnie dusza nasza lęka się do tego stopnia odrobiny powagi lub odrobiny więcej prawdy w miłości? Ileż to razy nie dopuściliśmy do tego, aby zbliżyć się do jakiejś rzeczy, która mogła być piękną i która byłaby połączyła nas ściślej niż ust pocałunek... Nie wiem dlaczego widzę to lepiej dzisiejszego wieczora. — Czy to dla tego, że wspomnienie Aglaweny jest dziś żywszem z powodu jej listu, lub jej przybycia, które już wyswobadza coś utajonego w naszych duszach? — Kochaliśmy się o tyle, o ile kochać się można po ludzku, jak się zdaje. Ale skoro ona tu będzie, będziemy się kochać więcej jeszcze, będziemy się kochać inaczej zupełnie, daleko głębiej, zobaczysz... I dla tego to przede wszystkim jej przyjazd tak mnie uszczęśliwia... Sam, nie mogłem... Nie mam tej mocy, którą ona posiada, jakkolwiek widzę tak samo jak ona. Ona jest jedną z tych istot, które umieją połączyć dusze ludzkie u ich źródła a skoro gdzie tylko się znajdzie, nie czuje się już nic zgoła,

żadnej przeszkody między sobą a tem, co jest prawdą...

SELIZETA. Kochaj ją, skoro ją kochasz ja odejdę...

MELEANDER. Selizeto!...

SELIZETA. Ja wiem, że nie rozumiem...

MELEANDER. Rozumiesz, Selizeto i słusznie przeto, żebym wiedząc, iż rozumiesz, choć nie chcesz tego okazać, mówił do ciebie to wszystko, co mówię teraz... Masz duszę bez porównania głębszą niż ta, którą mi ukazujesz zawsze i tę to duszę ukrywać przedemną właśnie, ilekroć wychodzę na jej poszukiwanie, jest dla ciebie igraszką... Nie płacz, Selizeto, to nie wyrzuty...

SELIZETA. Ja nie płaczę. Dla czegoż miałabym płakać?

MELEANDER. A przecież widzę, że drgają ci usta...

SELIZETA. Myślałam o czemś innem zupełnie... Czy to prawda, że ona była bardzo nieszczęśliwą?

MELEANDER. Prawda; była bardzo nieszczęśliwą przez twego brata...

SELIZETA. Może na to zasługiwała...

MELEANDER. Nie wiem czy kiedykolwiek jaka kobieta zasługiwała na to, aby być bardzo nieszczęśliwą...

SELIZETA. Cóż jej zrobił brat mój?

MELEANDER. Błagała mnie, aby ci o tem nie powiedzieć...

SELIZETA. Pisywaliście do siebie?

MELEANDER. Tak; pisywaliśmy czasami.

SELIZETA. Nie mówiłeś mi nic o tem.

MELEANDER. Niejednokrotnie pokazywałem ci jej listy, gdy przychodziły, ale jak się zdawało, nie byłaś ciekawą je czytać.

SELIZETA. Nie przypominam sobie...

MELEANDER. Ale ja to sobie przypominam...

SELIZETA. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

MELEANDER. Widziałem ją raz jeden tylko, powiedziałem ci to już, a było to w parku zamkowym twego brata... Tam pod temi wielkimi drzewami...

SELIZETA. Wieczorem?

MELEANDER. Tak, wieczorem.

SELIZETA. Cóż ona mówiła?

MELEANDER. Mówiliśmy z sobą bardzo mało. Ale mogliśmy widzieć że oba nasze istnienia tenże sam cel jeden...

SELIZETA. Pocałowaliście się?

MELEANDER. Kiedy?

SELIZETA. Owego wieczora...

MELEANDER. Tak, rozstając się...

SELIZETA. Ach!

MELEANDER. Zdaje mi się, że ona nie pozostanie długo między nami, Selizeto...

SELIZETA. Ależ tak, tak; ja chcę, żeby została (Hałas po za sceną). Jest już! (Biegnie do okna). Widać pochodnie na dziedzińcu... (Cisza. Główne drzwi otwierają się i Aglawena staje na progu. Wchodzi nie mówiąc nic i postępuje wprost ku Selizecie, której się przypatruje uważnie).

MELEANDER. Uściśnijcie się.

AGLAWENA. Tak jest. (Obejmuje długim uściskiem Selizetę, potem zwraca się do Meleandra, którego ściska również). I ciebie także...

SELIZETA. Zbudzę babkę...

AGLAWENA, (przypatrując się Meligranie). Zасыpia głęboko...

MELEANDER. Śpi tak większą część dnia... Ma sparaliżowane ramiona. Zbliż się, chciała cię widzieć dzisiejszego wieczora.

AGLAWENA. (ujmując rękę Meligrany i pochylając się nad nią). Babko...

MELIGRANA, (budząc się). Selizeto! (otwierając oczy), och! kto ty jesteś?

AGLAWENA Aglawena...

MELIGRANA. Przełękłam się...

AGLAWENA. Czy mogę cię ucałować, babko?

MELIGRANA Nazywasz mnie babką? Nie widzę cię dobrze. Kto tam stoi po za tobą?

SELIZETA, (występując). To ja, babko.

MELIGRANA. A! To ty, Selizeto... Nie dojrzałam cię już... Przysuń cokolwiek lampę, moje dziecko... (Selizeta przysuwa lampę i oświeca Aglawenę.)

MELIGRANA, (przypatrując się Aglawenie). Och! piękna jesteś!...

AGLAWENA. Czy mogę ucałować cię, babko?

MELIGRANA. Nie; nie całuj mnie dziś wieczór... Cierpiąca jestem więcej niż zazwyczaj; jedna tylko Selizeta umie mnie dotykać nie sprawiając nigdy bólu.

AGLAWENA. I ja nauczę się nie sprawiać bólu...

MELIGRANA, (wpatrując się w nią nieruchomo). Nie wiem doprawdy czy dozwolonym jest być tak piękną...

AGLAWENA. Przeciwnie, babko, nakazanem nam jest być piękną o ile podobna...

MELIGRANA. Ucałuj mnie, Selizeto, zanim usnę i odsuń lampę... Miałam sen jakiś piękny...

SELIZETA, (odchodząc z lampą). Trzeba jej wybaczyć; taka jest cierpiąca...

AGLAWENA. Co przebaczyć, Selizeto?—Gubisz coś... Co to upadło na podłogę? (Podnosi klucz) O! jakiż to osobliwy klucz...

SELIZETA. To klucz od mojej wieży... Nie wiesz co on otwiera...

AGLAWENA. Dziwaczny jakiś i ciężki... I ja także przywiozłam z sobą klucz złoty, zobaczycie... (Niema nic piękniejszego nad klucz, dopóki się nie wie, co on otwiera...)

SELIZETA. Jutro się dowiesz... Czy zauważyłaś, dojeżdżając tu, na samym końcu zamku, wieżę nadzwyczaj starą, której szczyt rozsypuje się w gruzy?

AGLAWENA. A tak; widziałam coś w rodzaju rozsypującego się w gruzy budynku na tle nieba. Widać było gwiazdy po przez szczyt murów.

SELIZETA. A tak, to to właśnie; to moja wieża, to dawna latarnia morska opuszczona. Nikt nie odważał się już tam wchodzić... Idzie się do niej przez długi kurytarz, od którego ja klucz znalazłam. Potem ten klucz mi zaginął... Kazałam dorobić inny; bo tam nikt prócz mnie nie wchodzi. Czasami Issalina mi towarzyszy. Meleander raz jeden wszedł tam; dostał zawrotu głowy. To bardzo wysoko, zobaczysz. Ztamtąd widać morze całe. Pieni się ono ze wszystkich stron wieży, prócz tylko od strony zamku. I wszystkie ptaki morskie gnieźdzą się w wyłomach murów. Skoro mnie tam spostrzegą, witają wielkim krzykiem, nauczyły się już mnie poznawać. Są tam także setki gołębi; próbowano inne znaleźć dla nich schronienie, ale nie chcą

żadną miarą opuścić wieży. Powracają tam zawsze... Czyś zmęczona?

AGLAWENA. Tak, cokolwiek, Selizeto. Odbyłam długą podróż.

SELIZETA. Tak, to prawda.. Pójdziem tam jutro, a potem i tak dziś wieczór wiatr jest bardzo silny... (Milczenie).

MELEANDER. To dziwne, Aglaweno... Miałem ci tyle rzeczy do powiedzenia... A teraz, w tych pierwszych chwilach wszystko milknie i zdaje się prawdziwie, że czeka się na coś!

AGLAWENĄ. Czeką się w rzeczy samej na to, by cisza przemówiła...

MELEANDER. Cóż ona ci mówi?

AGLAWENA. Gdyby można powtórzyć co ona nam powiada, nie byłaby to już cisza, Meleandrze... Wypowiedzieliśmy słowa tylko mniej więcej bezpożyteczne, słowa które każdy może byłby mógł znaleźć w takiej chwili, a jednak czyż nie jesteśmy spokojni i czyż nie wiemy, że powiedzieliśmy sobie wzajem rzeczy, które stokroć więcej są warte niż słowa nasze? Przemawialiśmy do siebie słówkami nieśmiało, jakimi przemawiają do siebie obcy przy spotkaniu, a jednak, kto zrozumie wszystko to, co zaszło między nami trojgiem, i kto to wie czy to wszystko, co ma się stać z nami, nie rozstrzygnęło się w chwili wymawiania

jednego ze słów tych... Alboż istnieje przeznaczenie, którego by nigdy nie musnęło skrzydłem swem żadne słowo? Co przecież wiadomem mi jest w każdym razie, to to, że nasze milczenie przepowiedziało mi, iż pokocham Selizetę jak siostrzyczkę... Wołało ono mi to na głos cały, rozlegało się tą wieścią w głębi duszy, od pierwszego kroku, którym stanęłam w tej sali; i to jedyny głos, jaki słyszałam dokładnie... (Przyciągając ku sobie Selizetę). Czemu to, Selizeto, tak cię kochać trzeba i płakać mimo woli w twoim uścisku? (Ściska ją długo i całuje). Pójdź i ty tu, Meleandrze... (Obejmuje go również uściskiem i całuje). Może to tego pocałunku oczekiwaliśmy wszyscy, i to będzie pieczęć, która zamknie ciszę naszej nocy... (Wychodzą).



AKT DRUGI.

SCENA I.

Szpaler w parku. Wchodzą Aglawena i Meleander.

MELEANDER. Niema tygodnia jak przebywamy razem pod tym dachem a już nie mogę sobie wyobrazić, żeśmy nie zrodzili się w tejże samej kołysce. Zdaje mi się, że nigdy nie byliśmy z sobą rozdzieleni i że znałem ciebie pierwaj jeszcze nim siebie poznałem. Wydajesz mi się poprzeczającą wszystko to, czem jestem, odczuwam duszę twą lepiej niż czuję moją własną, jesteś mi bliższą niż całe „ja” moje własne; i gdyby mi powiedziano: trzeba ci ocalić twe życie, „zmuszony” byłbym twoje życie wówczas ocalić, abym mógł sam żyć... - Nie widziałbym sam siebie, gdyby tu ciebie nie było, nie mogę już odnaleźć samego siebie, nie mogę do siebie się uśmiechnąć, nie mogę kochać siebie, jak w tobie jedynie tylko. Często wydaje

M. Maeterlinck. Aglawena i Selizeta

mi się, że dusza moja i moja istota cała i wszystko co one posiadają, zmieniło siedzibę i że to cząstkę mnie samego, ową cząstkę nie z tego świata, płacząc obejmując uściskiem, kiedy ściskam ciebie...

AGLAWENA. Ja to samo mówię, Meleandrze. Kiedy z kolei ja ujmuję w uścisk mój ciebie, zdaje mi się że tym uściskiem darzę siebie samą, piękniejszą przecież o wiele... Piękną bo jestem wówczas tylko, kiedyś ty zemną; i głos duszy mojej słyszę wtedy jedynie, kiedy ona się znajduje obok twojej duszy. Szukam siebie po za obrębem mnie samej i w tobie siebie znajduję... Nie mogę już odróżnić naszych dłoni, dusz naszych, ani ust naszych... Nie wiem już czy to ty jesteś moją jasnością, czy ja twojem światłem... Wszystko tak maści się razem w naszych istotach, tak z sobą łączy i zlewa, że niepodobieństwem już jest orzec, gdzie jedno z nas się rozpoczyna, gdzie drugie kończy... Najbliższy z twych gestów odślania mnie sobie samej, każdy z uśmiechów twoich, każde twoje milczenie i słowo każde przykuwa mnie do piękności nowej... Czuję, że odkwitam w tobie, jak ty odkwitasz we mnie; i odradzamy się bezustannie jedno w drugim...

MELEANDER Jedna rzecz tylko jeszcze nas rozdziela, to nasze wzajemne zdziwienie...

AGLAWENA. To prawda; mnie zdejmuję dziw dniem i nocą, że istota taka jak ty może istnieć rzeczywiście...

MELEANDER. Mnie także, Aglaweno... Moje oczy, ręce i uszy moje—nie wystarczają mi już... Zdaje mi się, że to sen, kiedy patrzę na ciebie, zdaje mi się, że to sen, kiedy cię słucham, przysiągłbym, że śniłem, skoro cię już nie widzę; zdaje mi się, że się omylił, skoro cię już nie słyszę. Powracam do ciebie i wydaje mi się, że się mylę jeszcze... Widzę cię, słyszę, chwytam w uścisk i w tejże samej chwili chciałbym uciec od ciebie po to, aby odzyskać tamtą drugą pewność...

AGLAWENA. Ja tak samo, Meleandrze... Skoro jestem obok ciebie, pragnęłabym oddalić się, aby cię ujrzeć jeszcze bardziej zbliżona, jak wtedy cię widzę, kiedy jestem samą zupełnie; a wówczas znów, gdy samą, idę cię szukać, bo wiem dobrze, że tam oczekuje na mnie dusza twoja, stokroć piękniejsza jeszcze niż ja sobie mogę przedstawić w mej wyobraźni... Nie wiem już co należy czynić w pośród takiego szczęścia, jak nasze; i czasami powiedziałoby można, że się czuję nieszczęśliwą tym zbyt wielkim szczęściem właśnie...

MELEANDER. Gdzieżeś ty była przez ciąg tych lat wszystkich, kiedyśmy żyli nie domyślając się, że żyjemy oboje!...

AGLAWENA. I ja myślałam nad tem, dusze nasze mówią z sobą, zanim otworzą się usta...

MELEANDER. A jednak kiedy ty mówisz do mnie; mnie wydaje się, że po raz pierwszy słyszę głos własnej duszy mojej...

AGLAWENA. I ja tak samo, Meleandrze, ilekroć mówisz do mnie, słucham mowy własnej mej duszy; a kiedy umilknę, słyszę twej duszy odzew... nie mogę już odszukać mojej, nie spotykając się z twoją. A kiedy szukam—moją wówczas odnajduję...

MELEANDER. Mamy w sobie oboje świat tenże sam, Aglaweno... Bóg pomylił się niewątpliwie kiedy stwarzał dwie dusze z naszej wspólnej duszy...

AGLAWENA. Gdiesz więc byłeś wtedy ty, Meleandrze, przez cały ten przeciąg lat, kiedy ja czekała osamotniona!...

MELEANDER. I ja czekałem sam jeden, i przestałem się już spodziewać...

AGLAWENA. Ja czekałam samotna również a spodziewałam się zawsze...

MELEANDER. Ale któż ci powiedział, że jest ktoś, co cię tak oczekuje?...

AGLAWENA. Nikt nie powiedział, i nie wiedziałam; chyba to co wiemy może

nie wiedząc; i znałam cię, choć cię nie widziałam nigdy...

MELEANDER. Ale czy nie widząc mnie mogłaś mnie kochać, jak ja cię kochałem?...

AGLAWENA. A ty, mój Meleandrze, czyś mnie widział tak, jak ja widziałam ciebie zanim cię odnalazłam?...

MELEANDER. Nie zdaje mi się, aby to, co nas spotyka, zdarzyło się kiedyś komukolwiek i czy są inne istnienia podobne do naszego życia...

AGLAWENA. Och, ja sądzę czasami, że to niepodobieństwo!...

MELEANDER. Ja także, Aglaweno, i lękam się...

AGLAWENA. Czegóż to się lękasz?... odnaleźliśmy się, czegóżby można obawiać się jeszcze?

MELEANDER. Lękać właśnie trzeba się, przeciwnie, wówczas, kiedy się jest szczęśliwym... Niema nic, co by było groźniejszym nad szczęście; i każdy pocałunek, który się daje, może zbudzić nieprzyjaciela... skoro jest coś innego...

AGLAWENA. Co?

MELEANDER. Selizeta...

AGLAWENA. I cóż?

MELEANDER. Czyś pomyślała o Selizecie?

AGLAWENA. Owszem.

MELEANDER. I to cię nie niepokoi?

AGLAWENA. Nie, Meleandrze; to mnie już nie niepokoi...

MELEANDER. Ona cierpieć będzie może...

AGLAWENA. Alboż nie mogę kochać cię jak brata, Meleandrze?

MELEANDER. A jednak, jeśli ona płakać będzie?...

AGLAWENA. Nie będzie płakała długo, jeśli się wraz z nami wzniesie na te wyżyny... Dla czegoż nie miałyby podnieść się równocześnie z nami do wyżyn tej miłości, która jest nieświadomą wszelkich małości miłości? Ona jest piękniejszą niż sądzisz, Meleandrze; podamy jej rękę: ona będzie umiała nas doścignąć a raz już z nami złączona, płakać przestanie... I błogosławić nas będzie za łzy wylane, bo są łzy stokroć dobroczynniejsze nad pocałunki...

MELEANDER. Czy sądzisz, że mógłbym kochać cię jak siostrę, Aglaweno?

AGLAWENA. Ach...

MELEANDER. Czy przypuszczasz, że mogłabyś kochać mnie jak brata, Aglaweno?

AGLAWENA. Kiedy mnie pytasz o to, nie wiem już teraz, Meleandrze...

MELEANDER. Ja nie mogę już w to uwierzyć. Będziemy walczyć dniem i nocą, będziemy walczyć bardzo długo; i najpiękniejsze nasze siły, które mogłyby stać się najcenniejszą miłością, pięknem, może lub prawdą

najgłębszą, wyczerpią się w tej bezpotrzebnej walce... A im więcej będziemy walczyć z sobą, tem więcej widzieć będziemy stojącą między nami żądzę, która kłaść się będzie na dusze nasze niby welon, coraz to gęstszy, ciemniejszy... I wszystko co najlepsze zamrze w nas samych przez tę żądzę... Wydaje się, że na dnie tego wszystkiego jest tylko jakaś rzecz drobna bardzo, nie nie znacząca a jednak ta rzecz drobna posiada może siłę odtrącenia na zawsze dwu dusz od ich doskonałego piękna... Czyliż wszystko, gwiazdy i kwiaty, ranki i wieczory, myśli i łzy — wszystko nie przetwarza się wedle pocałunków, jakie dajemy?... Czyliż noc sama ma też samą głębię w oczach siostry co w oczach kochanki? Nie zamykajmy podwoi przed najpiękniejszymi prawdami, Aglaweno... całe światło dwu dusz naszych rozbija się o jedno drobne kłamstwo... Nie jesteś moją siostrą, Aglaweno i nie mógłbym kochać cię jak siostrę...

AGLAWENA. To prawda, że nie jesteś mi bratem, Meleandrze, ale tutaj właśnie jest punkt, gdzie nas czeka cierpienie, gdzieśmy mu się poddać powinni...

MELEANDER. Więc i ty także, Aglaweno, lubisz bezpożyteczne cierpienia?...

AGLAWENA. Nie, Meleandrze, lubię te cier

pienia tylko, które mogę zdjąć innym z barków...

MELEANDER. A jakichże cierpień tutaj moglibyśmy ująć innym, nie zabijając w sobie samych tego, co w nas jest najlepszym?

AGLAWENA. Tego dziś nie wiemy jeszcze, Meleandrze, ale powinniśmy postępować tak, jak gdybyśmy wiedzieli—a jeśli omyłka jest nieunikniona, daleko lepiej jest mylić się kosztem siebie samych, na niekorzyść własną...

MELEANDER. Wiem o tem, Aglaweno, ale co tu czynić?...

AGLAWENA. Losy zbliżyły nas do siebie, Meleandrze, poznaliśmy się wzajem jak dwie dusze nigdy może jeszcze dotąd się nie poznały, nie pojęły. Kochamy się i nic na świecie nie zdoła już dokazać tego, abym ja przestała cię kochać, abyś ty mnie kochać przestał...

MELEANDER. Ja tak samo sędzę, Aglaweno. Nie widzę nic w świecie...

AGLAWENA. A jednak, gdyby przezemnie jakaś niewinna istota miała płakać, czy poznałbyś mnie wówczas?

MELEANDER. Płakać może dla tego tylko, że się myli...

AGLAWENA. Łzy, które wyciska omyłka, są przecież również bolesnemi...

MELEANDER. Nie pozostawałoby nam więc nie innego, jak uciekać od siebie, Aglaweno; ale to niepodobna!... Rzecz tak piękna nie zrodziła się po to, aby umierać; i musimy mieć względem nas samych również obowiązki...

AGLAWENA. Ja wierzę w to niemniej, Meleandrze, i sędzę, że jest coś lepszego do zrobienia jak uciekać od siebie... Nie mogę wyobrazić sobie, aby te rzeczy rodziły się na na to, by się w łzach kończyć...

MELEANDER. Nikt nie wie na co one się rodzą, Aglaweno, ale wiadomo, że łzy nigdy nie każą na siebie czekać...

AGLAWENA. Tymczasem, jeśli trzeba aby ktoś cierpiał, nam na siebie należy wziąć cierpienie... Tysiące jest obowiązków, Meleandrze; ale wydaje mi się, że rzadko mylimy się, kiedy się staramy naprzód ująć jakiegoś cierpienia słabszemu po to, aby je wziąć na swoje barki.

MELEANDER. (opasując ją ramionami). Jakżeś ty piękna, Aglaweno!

AGLAWENA. (obejmując go z kolei). Kocham cię, Meleandrze..!

MELEANDER. Czy to ty płaczesz, Aglaweno?...

AGLAWENA. Nie, to my, Meleandrze...

MELEANDER. Czy to i my tak drżymy?...

AGLAWENA. Tak jest... (ściskają się. Rozlega się krzyk bólesci w pośród krzewów;

potem widać Selizetę uciekającą ku zamkowi z rozwianym włosom).

MELEANDER. Selizeta!...

AGLAWENA. Tak...

MELEANDER. Słyszała nas... Ucieka ku zamkowi...

AGLAWENA, (ukazując mu zdala Selizetę). Idź!... Idź!...

MELEANDER. Idę... (puszcza się w pogoń za Selizetą. Aglawena opiera się o drzewo i płacze cicho).

SCENA II.

W głębi parku. Ławka kamienna nad brzegiem basenu. (Widać Aglawenę uspioną na ławce i okrytą zasłoną. Wchodzi Selizeta.

SELIZETA. „Selizeta, moja Selizetka, nie trzeba, aby płakała“... Lituje się nademną, bo już mnie nie kocha... I ja już go nie kocham... Oni sądzą, że ja będę milczeć spokojnie i że wystarczy całować mnie, patrząc równocześnie gdzieindziej... „Selizeto, moja Selizetko...“ mówi się to bardzo czule, o! daleko czulej niż zazwyczaj... Patrzy teraz na co innego, kiedy mnie całuje; albo patrzy tak na mnie, jak gdyby chciał prosić mnie o przebaczenie... A wtedy, kiedy oni się całują ja muszę się ukrywać

jakgdybym co ukradła... Tego wieczora wyszli jeszcze; i straciłam ich z oczu... „Selizetka, mała Selizetka“ nie jest przypuszczoną do tajemnicy... do niej przemawia się tylko z uśmiechem... całuje się ją w czoło... ofiaruje kwiaty i owoce... „Selizetkę“ proteguje ta obca... całuje się ją, ściska ze łzami aby mózgi sobie powiedzieć: Biedna mała!.. coż tu można poradzić na to... ona nie odejdzie przecież... ale ona i tak niczego nie dopatrzy... i skoro odwróci głowę, tamci ściskają się za ręce... tak, tak, aż nadejdzie chwila... Cierpliwości jednak... A dla „małej Selizetki“ nadejdzie jej dzień także... Nie wie jeszcze co jej uczynić należy, ale cierpliwości, cierpliwości, zobaczycie... (sposstrzegając Aglawenę na ławce) Oni są tutaj!.. Zasnęli jedno w drugiego objęciach!... Och! to!.. och! to!... odchodzę!... Issalino, babko!... Trzeba, aby to zobaczono!.. Nikt nie przyjdzie! Zawsze jestem sama jedna... Idę... (Przybliżając się). I ona jest tu sama... Czy to promień księżyca czy też jej welon biały?.. Śpi; co ja zrobić? Och! ona nie wie!... siedzi nad brzegiem rezerwuaru a skoro się odwróci wpadnie w cysternę... deszcz padał.. okręciła sobie welonem głowę, ale piersi ma odsłonięte... przemokła cała... przeziębła?.. nie zna tych stron... czy upadła tu, czy

zachorowała?... och! drży cała we śnie... okryję ją moim płaszczem... (Otula Aglawenę i podnosi welon, osłaniający jej twarz). Śpi głęboko... zdaje mi się, że płakała... nie wygląda doprawdy na szczęśliwą... nie wygląda na szczęśliwszą odemnie... błada jest; widać że i ona płacze... piękna jest... piękna z tą bladością... rzekłbyś, że spływa w jedną całość z blaskiem księżyca... nie należy jej zbudzić nagle... mogłaby wyleknąć się i wpaść w studnię... (Pochylając się ostrożnie ku niej) Aglaweno... Aglaweno...

AGLAWENA, (budząc się) Ach!.. tak jasno...

SELIZETA. Uważaj... jesteś nad samym brzegiem ocembrowania... Nie odwracaj się, mogłoby ci się zawrócić w głowie...

AGLAWENA. Gdzie ja jestem?

SELIZETA. Nad brzegiem zamkowego rezerwuaru wód słodkich... Nie wiedziałas tego?... czy przyszłaś tu sama? trzeba było uważać, to miejsce niebezpieczne...

AGLAWENA Nie wiedziałam... ciemno było... widziałam tylko szpaler krzaków, dalej ławkę... smutna byłam i zmęczona...

SELIZETA Nie zimno ci? Zapnijże płaszcz.

AGLAWENA. Co to za płaszcz? — To twój, Selizeto? — To ty mnie nim okryłaś, gdy spałam?... Ależ to ty ziębniesz teraz... Chodź tutaj, okryjem się obie... Drżysz daleko bardziej niż ja! (Odwracając się).

Och! widzę... Teraz, kiedy wszedł księżyc widzę wodę błyskającą wśród dwu murów... Gdybym tylko była się poruszyła... i to ty... (Patrzy długo na Selizetę i ściska ją). Selizeto!..

SELIZETA. Nie pozostawajmy tutaj... To miejscowość, gdzie panują febry...

AGLAWENA Nie powinno się nigdy dać na siebie czekać takim jak ta chwilom, Selizeto... One nie powracają dwa razy... Widziałam twoją duszę, Selizeto, bo okazałaś mi przed chwilą miłość mimo twej woli...

SELIZETA. Zaziebnijmy się, Aglaweno...

AGLAWENA. Błagam cię, Selizeto, nie próbuj uciec przed chwilą, w której wszystko, co jest najpoważniejszego w twej istocie, rwie się ku mnie... Czy sądzisz, że ja nie słyszę tych wysiłków?... Czy sądzisz, że kiedykolwiek będziem bliższe jedna drugiej?... Nie kładźmy słówek dziecinnych między biedne serca nasze, słówek podobnych do cierni... Mówmy z sobą jak ludzkie istoty, Selizeto, jak nieszczęsne istoty ludzkie, takie, jakimi jesteśmy, które przemawiają wzajem do siebie jak i czem mogą: dłońmi, oczyma, całą swą duszą, skoro chcą wypowiedzieć sobie wzajem rzeczy realniejsze nad te, jakich osiągnąć mogą słowa... Czy sądzisz, że ja nie słyszę jak wzbiera

dusza twoja?... Przytul się do mnie, Selizeto, przytul się do mnie pośród tej nocy, pozwól mi opleść cię memi ramiony i nie troszcz się o to, że mi nie możesz dać odpowiedzi... W tobie przemawia coś, co ja słyszę również dobrze jak ty sama...

SELIZETA, (zalewając się łzami). Aglaweno...

AGLAWENA. Aglawena płacze również, Selizeto... Płacze dla tego, że cię kocha i dla tego bo i ona nie może powiedzieć na pewno, coby jej czynić należało, coby jej należało mówić... Jesteśmy same zupełnie, opuszczone, Selizeto, same, tulące się jedna do drugiej w ciemnościach... a szczęście czy nieszczęście, które nas ma osiągnąć, rozstrzyga się w nas samych w tej chwili, być może... Ale nikt wiedzieć tego nie zdoła... I nie znajduję nic innego prócz łez, kiedy chcę zbadać przyszłość... Wyobrażałam sobie, że to ja jestem rozumniejszą a teraz, kiedy nadchodzi chwila, gdzie trzeba coś stanowczego wiedzieć, czuję, że ty mi bardziej jesteś potrzebną niż ja potrzebną jestem tobie... I dla tego to płaczę, Selizeto i dla tego przyciskam cię do łona, chcąc abyśmy zbliżyły się do siebie obie, tak jak zbliżyć się może do siebie to, co się rozstrzyga w głębi dusz naszych... Sprawiałam ci wielką boleść dziś rano...

SELIZETA. Nie, nie; nie sprawiałaś mi żadnej boleści...

AGLAWENA. Zadałam ci wielką boleść tego ranka... A pragnęłabym nigdy już ci jej nie sprawić... Cóż jednak czynić trzeba, aby nie sprawiać boleści tym, których kochamy najwięcej?... Powiedzieć można, doprawdy, że jak tylko ukocha się jakąś istotę, ukazuje się ją równocześnie wraz z samą sobą cierpieniu, które jej dotąd nie spostrzegło... I tak to w tejże samej chwili, w której miłość moja dla ciebie była najgłębszą, złożyłam ów pocałunek, który zrodzonym był dla ciebie a który tobie po raz pierwszy łyzy z oczu wycisnął...

SELIZETA. Płakałam, Aglaweno, to prawda; ale byłam nierozsądna... Nie będę już odtąd płakać.

AGLAWENA. Moja biedna Selizeto, nigdy się nie wie napewno, kiedy się jest rozsądnym... Nie należy sobie zadawać pytania czy ci co płaczą, są rozsądnymi lub nie, ale poprostu, co nam czynić należy, aby oni płakać przestali.

SELIZETA (łkając). Aglaweno!

AGLAWENA. Co tobie, Selizeto, drżysz cała?

SELIZETA. Nie widziałam dotąd, aby sen kiedy kleił twe powieki.

AGLAWENA. Zobaczysz mnie jeszcze, Selizeto, bardzo często zasypiającą...

SELIZETA. A potem nigdy nie mi nie powiedziano... Nie, nikt, nikt.

AGLAWENA Owszem, owszem, moja biedna Selizeto, bez wątpienia mówiono ci to, co się mówi wszystkim; bo wszyscy mówią skoro chcą i każda istota ma sposobność posłyszenia słów potrzebnych; ale ty nie umiałaś jeszcze słuchać...

SELIZETA. To nie było to samo co teraz... Nigdy, nigdy...

AGLAWENA. Boś ty nie słuchała, Selizeto, widzisz, nie słucha się uszami tylko; a to co słyszysz teraz, tego zaprawdę nie słyszysz uszami; bo w gruncie rzeczy nie słuchasz tego, co ja mówię, słyszysz to jedno poprostu tylko, że cię kocham...

SELIZETA. Ja kocham ciebie także...

AGLAWENA. I dla tego to właśnie słuchasz i rozumiesz tak dobrze wszystko to, czego ja wypowiedzieć nie mogę... Nie same dłonie nasze tylko spojone są z sobą w tej chwili, moja biedna Selizeto... Ale i Meleander kocha cię tak samo; dla czego jego nie słuchałaś?

SELIZETA. On nie taki jak ty, Aglaweno...

AGLAWENA. On lepszy niż ja: i z pewnością musiał do ciebie przemawiać niejednokrotnie, daleko lepiej niż ja to mogę uczynić...

SELIZETA. Nie, nie; to zupełnie co innego... słuchaj, nie mogę ci powiedzieć z całą

pewnością co to jest... Skoro on jest ze mną, ja kryję się sama w sobie... Nie chcę płakać... Nie chcę, żeby on sądził, że rozumiem... Zanadto go kocham...

AGLAWENA. Mów jeszcze, Selizeto... Ja przyciskać cię będę zlekka do piersi przez ten czas, kiedy mówić będziesz...

SELIZETA. To tak trudno... Ty nie zrozumiesz, ja nie mogę tego wypowiedzieć...

AGLAWENA. Jeżeli nie rozumiem tego co mi powiesz, rozumiem to, co mi łzy twoje powiedzą...

SELIZETA. To tak, Aglaweno... Nie chciałabym, żeby on kochał mnie za co innego... Chcę, żeby mnie kochał dlatego, że to jestem ja jedna... Och! nie, tego niepodobna wypowiedzieć całkowicie... Nie chcę, żeby mnie kochał dlatego że się z nim zgadzam, lub dlatego, że mogę odpowiedzieć mu w zupełności... Możliwy powiedzieć, że zazdrośną jestem o siebie samą... Rozumiesz mnie trochę, Aglaweno?

AGLAWENA Bez trudu widzieć można czy w naczyniu kryształowem jest czysta woda, Selizeto... Balaś się pokazać mu, że jesteś piękną... Niewiedzieć dla czego przejmuję nas często ta obawa, kiedy kochamy... Zanim nadto pragnie się może, aby inni to odgadli... Ale to trwoga, którą trzeba przezwyciężyć...

M. Maeterlinck. Aglawena i Selizeta.

A potem, widzisz, Selizeto, ukrywając się przed innymi, w końcu nie możemy już odnaleźć samych siebie...

SELIZETA. Ja jestem nierozsądna, Aglaweno, wiem to dobrze... Chciałabym, żeby on mnie kochał wtedy nawet, gdybym nie umiała nic, nie wiedziała nic, nie robiła nic, nie widziała, nie była niczem... Zdaje mi się, że chciałabym, aby on mnie kochał wówczas nawet, gdybym nie istniała... I wtedy ukrywałam, ukrywałam... Chciałabym ukryć wszystko... To nie jego wina, Aglaweno... I to dla tego byłam najszczęśliwszą wówczas, kiedy całował mnie i pieścił, wzruszając ramionami i wstrząsając głową... Daleko szczęśliwszą, niż gdyby mnie całował z uwielbieniem... Ale przypuszczam, że to nie tak trzeba kochać?...

AGLAWENA. Niewiadomo, Selizeto, jak kochać trzeba... jedni kochają tak, inni inaczej; miłość czyni to, lub miłość czyni tamto; a zawsze to jest dobrem, bo to miłość... Patrzy się na nią w głębi siebie, jak na jastrzębia lub na dziwnego jakiegoś orła w klatce... Klatka należy do ciebie, ale ptak nie należy do nikogo... pogląda się na niego z niepokojem, ogrzewa własnem tchnieniem, żywi, ale się nie wie co on robi: czy uleci, czy pokaleczy się o pręciki klatki, czy zaśpiewa... Nie istnieje na świecie nic, coby

było dalszem od nas nad naszą miłość, moja biedna Selizeto... Trzeba czekać tylko i można dopiero nauczyć się ją rozumieć...

SELIZETA. Czy ty go kochasz, Aglaweno?

AGLAWENA. Kogóż to, Selizeto?

SELIZETA. Meleandra...

AGLAWENA. Jakżebym go kochać nie miała?

SELIZETA. Ale czy ty go kochasz tak, jak ja go kocham?

AGLAWENA. Staram się pokochać go tak, jak kocham ciebie, Selizeto...

SELIZETA. Gdybyś jednak miała kochać go zanadto?...

AGLAWENA. Mnie się zdaje, że nigdy kochać zanadto nie można, Selizeto...

SELIZETA. Jeśli on ciebie kocha więcej niż mnie?

AGLAWENA. Kochać będzie w tobie to, co kochał we mnie, boć to toż samo... Niema na świecie całym ani jednej istoty, która by tak była do mnie podobną jak Meleander. Jakże więc mógłby ciebie nie kochać, kiedy ja cię kocham i jakże ja mogłabym go kochać, gdyby on nie kochał ciebie?... Nie byłby już wówczas podobnym do samego siebie ani też do mnie...

SELIZETA. Niema nic, coby on kochać mógł we mnie... a tobie wiadome jest tyle rzeczy, których ja nigdy umieć nie będę, Aglaweno...

AGLAWENA Uściśnij mnie, Selizeto, i wierzaj mi, kiedy mówię, że wszystko co mam i umiem, nie jest wartem więcej niż to, co ty wyobrażasz sobie, że nie umiesz... Pewną jestem, że zdołam ukazać mu, iż ty daleko głębszą i piękniejszą niż on to sądzi...

SELIZETA. Alboż będziesz mogła sprawić, żeby mnie kochał jeszcze skoro ty tu jesteś?

AGLAWENA. Gdyby miał nie kochać cię dla tego, że ja tu jestem, odeszłabym natychmiast, Selizeto...

SELIZETA. Ja nie chcę, żebyś nas miała opuścić...

AGLAWENA. A przecież trzeba byłoby, Selizeto, bo wówczas jużbym nie kochała...

SELIZETA. Wtedy dopiero ja byłabym nieszczęśliwą, Aglaweno...

AGLAWENA. Być może, Selizeto...

SELIZETA O! zaczynam cię kochać, kochać Aglaweno!...

AGLAWENA Ja kocham cię już oddawna, Selizeto...

SELIZETA. Ja nie; kiedy cię zobaczyłam, nie kochałam cię, a potem pokochać cię musiałam jednak... Przez chwilę życzyłam ci... och! źle, źle bardzo... Ale bo ja nie wiedziałam, że ty jesteś taką... gdybym to ja była na twojem miejscu, czuję, że byłabym złą...

AGLAWENA. Nie, nie, moja biedna Selizeto... w głębi twojej duszy złą nie byłabyś, nie wiedziałabyś tylko, jakim sposobem można być dobrą, będąc nieszczęśliwą... Sądziłabyś, że powinnością twoją jest być złą, dla tego że nie miałabyś odwagi okazać się dobrą.. życzy się wszystkiego złego tym, co nas obrażają; a potem za najmniejszym złem, które ich spotyka, chciałoby się oddać im całe szczęście, jakie posiadamy, byle tylko już nie płakali... Dlaczego wszakże nie kochać ich zanim zostaną nieszczęśliwymi? Nie mylim się bynajmniej kochając ich już z góry, bo niema na tym świecie nikogo, coby był szczęśliwy do końca życia...

SELIZETA. Chciałabym ucałować cię raz jeszcze, Aglaweno... To dziwne, z początku nie mogłam zmusić się... Och! lękałam się twoich ust... Nie wiem czemu... a teraz... Czy on cię często całuje?

AGLAWENA. On?

SELIZETA. Tak.

AGLAWENA. Tak, Selizeto i ja całuję go również.

SELIZETA. Dlaczego?

AGLAWENA. Bo są rzeczy, których nie można sobie powiedzieć inaczej jak wśród pocałunków... Dlatego, że rzeczy najgłębsze i najczystsze być może, nie wychodzą z du-

szy dopóki pocałunek nie powoła ich do życia...

SELIZETA. Możesz go całować, dopóki ja na niego patrzę, Aglaweno...

AGLAWENA. Nie będę go całować już, skoro tego nie chcesz, Selizeto...

SELIZETA (wybuchając nagle płaczem). I możesz całować go wtedy nawet, kiedy ja nie patrzę... (Pochyla się na ramię Aglaweny i łka dalej cicho).

AGLAWENA. Nie płacz, Selizeto, bo stajesz się bardzo piękną...

SELIZETA. Nie wiem doprawdy dla czego płaczę... nie czuję się nieszczęśliwą... Szczęśliwą owszem jestem, że cię zbudziłam, Aglaweno...

AGLAWENA. I ja szczęśliwą się czuję również żem ciebie rozbudziła Selizeto... chodź, pójdźmy... Nie trzeba nam się opóźniać zbyt długo w miejscach, gdzie dusza nasza była szczęśliwszą, niż dusza ludzka nią być może... (Wychodzą we wzajemnym uścisku).

SCENA III.

Apartment w zamku. Widać w głębi sali w cieniu Meligranę i Selizetę.

MELIGRANA. Nie możesz już tego znieść dłużej, moja biedna Selizeto, sił ci braknie

nie zaprzeczaj, nie wstrząsaj głową ocierając równocześnie z łez oczy...

SELIZETA. Ależ babko, mówię ci, że płaczę ze szczęścia...

MELIGRANA. Nie tak się płacz, kiedy się jest szczęśliwą...

SELIZETA. Cóż znowu! tak się płaczę skoro ja tak płaczę...

MELIGRANA. Posłuchaj mnie, Selizeto... Słuchałam niedawno tego wszystkiego coś mi mówiła o Aglawenie... Ja tak nie umiem pięknie przemawiać jak ona... Jestem starą kobietą, nie umiejącą wiele, ale i ja cierpiałam także; ciebie jedną mam tylko na całym świecie, bliską jestem już grobu a wszystko to, widzisz, ukazuje mi prawdy, które są może równie pięknymi jak owe, o których nam mówi Aglawena, nie zawsze jednak słuszność jest po stronie owych prawd najpiękniejszych wobec owych drugich prawd prostszych i starszych... Ja widzę to jedno tylko, moja biedna Selizeto, że mimo uśmiechów które kładziesz na usta wobec nas, ty bledniesz coraz bardziej i płaczesz zawsze, ilekroć sądzisz, że na ciebie nikt nie patrzy... Nie trzeba tak walczyć z własnymi siłami... Daremnie to mówić sobie, że łzy nasze są nierozsądne lub że nie są piękne; skoro się doszło do kresu swego życia, wie się dobrze, bo się zbyt często na to patrzy-

ło, że one jedne tylko mają słuszość... Jest, ja to wiem, wiele rzeczy piękniejszych nad łyzy; i bardzo często lepiej byłoby nie płakać... Ale kiedy człowiek nie może już powstrzymać się od płaczu, trzeba mu uwierzyć w prawdę łez swoich; trzeba sobie powiedzieć, że jest w nich coś, co jest daleko prawdziwszem jeszcze nad najpiękniejsze rzeczy, jakie widzimy ponad niemi... bo, widzisz Selizeto, często bardzo przeznaczenie przez łyzy nasze przemawia i one z głębin przyszłości nabiegają nam do oczu... (Aglawena wchodzi z głębi sali niepostrzeżona przez nie). Długo płakałaś już, moja biedna Selizeto, i wiesz dobrze, że nie będziesz nadal mogła powstrzymać się od płaczu... Do czego chcesz aby to doszło? Zastanawiałam się cierpliwie w moim kątku i staram się teraz mówić o tem z krwią zimną, pomimo że boleję nad tem, iż ty cierpieć musisz niesprawiedliwie... Wszystkie te smutki nie mogą mieć dwoistego ludzkiego rozwiązania i trzeba koniecznie, aby jedna z was dwu umarła lub, by druga odeszła... A któraż powinna odejść, jeśli nie ta, którą los zesłał zapóźno?

SELIZETA. Dlaczegożby nie ta, która przyszła za wcześniej?

AGLAWENA. (występując). Nie przychodzi

się w oznaczonej godzinie i zdaje mi się, że babka ma słuszość...

SELIZETA. Jeśli babka ma słuszość, będziemy obie nieszczęśliwe!..

AGLAWENA. A jeśli babka się myli, płakać będziemy również... Co chcesz, Selizeto, najczęściej niema innego wyboru nad łyzy a gdybym słuchała tylko mego uboższego rozumu, powiedziałabym, że trzeba z pośród nich wybierać tylko te, co są piękniejsze; a piękniejszymi tutaj są te któreś ty wylewała... Ale od kilku dni i ja, jestem niespokojną; i powtarzam sobie nie jeden raz, że po za obrębem prawd osiągniętych, musi koniecznie istnieć inna głębsza, surowsza prawda, która oczekuje swej chwili w głębi nas samych i której uśmiechu żadne ze słów naszych nie przyćmi, której oczu żadne z łez nie otrze... i zdaje mi się, że dzisiaj znalazłam tę prawdę, co nam każe postępować wbrew wszystkim naszym wysiłkom... Żegnaj, Selizeto. Uściśnij mnie. Już późno. Meleander na ciebie czeka.

SELIZETA. Czy nie pójdziesz ucałować go razem ze mną, Aglaweno?

AGLAWENA. Ja już całować go nie będę, Selizeto; ucałuję ciebie samą, ilekroć będziemy razem a jemu będę mogła powiedzieć wszystko, co mu powiedzieć trzeba, jak gdybym całowała go samego...

SELIZETA Co to, Aglaweno? Oczy twoje błyszczą, ty kryjesz coś przedemną...

AGLAWENA. Moje oczy błyszczą dlatego, przeciwnie, że już nie nie ukrywam, Selizeto... Poznałam niedawno teraz, że on kochał cię daleko głębiej niż sam sądził...

SELIZETA. Czy ci to powiedział...

AGLAWENA. Nie; gdyby mi był powiedział, nie byłabym tego tak pewną...

SELIZETA. A ciebie, ciebie on już nie kocha?..

AGLAWENA. Kocha mnie mniej daleko niż ciebie...

SELIZETA. Och! biedna moja Aglaweno!... Ale to niepodobna... dlaczego mniej cię ma kochać? Co chcesz, abym uczyniła, Aglaweno? Nie trzeba, abyś była samą dziś wieczór, skoro nie jesteś szczęśliwą... czy chcesz, bym pozostała z tobą?.. Powiem mu...

AGLAWENA. Idź, idź... spiesz, Selizeto... nigdy nie będę już w życiu szczęśliwszą jak nią jestem tego wieczora... (Ściskają się w milczeniu i wychodzą każda z osobna).

AKT TRZECI.

SCENA I.

W parku. Wchodzą: Meleander i Selizeta.

SELIZETA Przebacz mi, Meleandrze, chciałbyś może pozostać. Jestem dla ciebie zawsze przyczyną zmartwienia; ale odejdę natychmiast... przychodzę z pokoju Aglaweny... ona śpi już i śpiącą ucałowałam w usta; a jakkolwiek gwiazdy oświecają całe jej łóżko, nie zbudziła się... Nie obawiaj się, nie zatrzymam cię długo; i pójdziemy zbudzić ją niebawem, bo płacze wciąż we śnie... nie śmiałam zbudzić ją sama... chciałabym tylko pomówić z tobą o jednej rzeczy... nie wiem jeszcze czy mam słuszość lub nie, ani czy to jest źle lub dobrze... nie mogę o to spytać Aglaweny, ale i ty mi wybaczysz, jeśli się mylę...

MELEANDER. Cóż to takiego, Selizeto? — Chodź tu, na tę ławkę i usiądź na moich kolanach. Ja pięścią będę tve włosy a ty przez ten czas będziesz mi mówić; nie będziesz widzieć mojej twarzy, nie będziesz

się mnie bała... przypuszczam, że masz coś bardzo ciężkiego na sercu...

SELIZETA. To nie na sercu, Meleandrze... to na sobie... nie mogę tego powiedzieć gdzie... może to na duszy... coś to takiego, co mi ciąży... coś, co każe się domyślać... czego?... ja sama nic nie wiem jeszcze, ale to wiem, że teraz szczęśliwsza niż w owych czasach, kiedy nie czułam jeszcze tego ciężaru...

MELEANDER. Zmieniłaś się bardzo, Selizeto... i ja także miałem ci coś powiedzieć... nie odnajduję już dawnej twej twarzy a kwiaty twych lic nie mogą odżyć nawet pod moimi pocałunkami... niegdyś śmiałaś się kiedyś cię całował...

SELIZETA. Niegdyś śmiałam się częściej, Meleandrze, ale teraz jestem za to szczęśliwszą...

MELEANDER. Nie wiem, Selizeto... zdaje się czasem, że dusza uważa się za szczęśliwszą, kiedy serce już ustaje... Ale dajmy pokój temu wszystkiemu, i powiedz mi przedewszystkiem co to udręcza cię tak dzisiejszego wieczora...

SELIZETA. Aglawena nas opuszcza...

MELEANDER. Kto? Aglawena? Ona ci to powiedziała?

SELIZETA. Tak...

MELEANDER. Kiedyż to?... I dlaczego wyjeżdża?

SELIZETA. Nie powiedziała mi tego... ale pewnem jest, że odjedzie; skoro dziś sądzi, że to należy jej uczynić... i dlatego to właśnie ja zadaję sobie pytanie, czy nie lepiej byłoby, gdybym ja odjechała...

MELEANDER. Kto? — ty, Selizeto? — Ale cóż to się stało?

SELIZETA Nic się nie stało, Meleandrze; i proszę cię jeśli nie chcesz aby Aglawena płakała bez powodu, nie mów jej nic o tem... Ale widzisz, Meleandrze, ja także zastanawiałam się przez ten czas kiedy wy byliście z sobą, ja zaś czekałam u boku babki... a ilekroć powracaliście tak szczęśliwi, tak szczęśliwi, tak zespoleni z sobą, że wszyscy milknęli mimowolnie za waszem zbliżeniem... mówiłam sobie często bardzo: ja jestem tylko biedactwem marnem, które nigdy nie zdoła was doścignąć... wy przecież byliście zawsze tak dobrzy dla mnie, że spostrzegłam to zbyt późno może... i bardzo często chcieliście pociągnąć mnie za sobą dlatego, że byłam smutną... kiedy wam towarzyszyłam wydawaliście się weselsi niż zazwyczaj, ale wasze duchy oba nie czuły się już tak szczęśliwymi, ja zaś byłam między wami jak obca, którą chłód przejmuję... a jednak to nie wasza była

wina i nie moja вина także... wiem dobrze, że ja nie mogę niektórych rzeczy rozumieć... a jednak wiem, że zrozumieć trzeba...

MELEANDER. Moja droga, droga i dobra Selizeto, Aglawena ma zupełną słuszość i ja nie wiedziałem nawet, jak bardzo jesteś piękną... ale czego to sądzisz, że nie rozumiesz? — Czy wyobrażasz sobie, że my zrozumieliśmy coś takiego, czego ty nie pojmujesz? Niestety! moja biedna Selizeto, różnica jest tak drobna w głębi rzeczy, nie podobnaby powiedzieć, dla jakich przyczyn się kocha. Ale jeśli mogłaś powiedzieć to, co przed chwilą tu wypowiedziałaś, nie masz już potrzeby rozumieć niczego więcej; i to ja raczej nie rozumiałbym...

SELIZETA. Nie, nie, mój biedny Meleandrze, twoja dobroć tylko teraz przemawia... ja wiem czem być potrzeba a jednak nie mogę nigdy być tem, czem oboje wy jesteście...

MELEANDER. Nie poznaję cię wcale, Selizeto, i nie dostrzegłem nic... nie wiem z jakich niebios zstąpiłaś skoro tak mówisz...

SELIZETA. Przychodzę od Aglaweny, Meleandrze...

MELEANDER. My wszyscy ztamtąd przychodzim, moje dziecko; nie masz innego źródła nad piękno, jak skoro się je raz poznało... ale czy sądzisz, Selizeto, że zach-

dzi tak wielka różnica między twoją duszą a duszą Aglaweny?

SELIZETA. O, tak; zdaje mi się, że bardzo wielka Meleandrze...

MELEANDER. Nie sądzę, Selizeto, i coraz, coraz mniej mi się to wydaje, odkąd poczynam rozpatrywać się w tem wszystkim, co się kryło pod twym dziecięcym śmiechem... Ciągnie nas zawsze do dusz, które umieją się nazewnątrż ujawnić; a należałoby wiedzieć, że i te, które się nam nie ukazują, są również pięknymi jak tamte... a kto wie czy nie piękniejszymi jeszcze, ponieważ nie domyślają się tego same nawet...

SELIZETA. Nie, nie; daremniebym się starała, nigdy nie byłoby to toż samo, Meleandrze... jeżeli uczyniłam coś takiego, co ty uznajesz, to dlatego tylko, że próbowałam naśladować Aglawenę...

MELEANDER. Selizeto...

SELIZETA. O! Meleandrze... nie powiedziałam tego, aby ci czynić jakiś zarzut... może ty tak zrozumiał? nie jestem już taką, jaką byłam dawniej i nikomu już nie będę robić wyrzutów. Nie wiem sama, co mnie tak zmieniło i nie uwierzyłabym temu, kto by mi był powiedział przed niedawnym czasem, że będę szczęśliwszą im bardziej będę smutniejszą i że kiedyś złożę pocału-

anek na ustach tej, którą ty miałeś pokochać; jednak nie mogę już dziś oprzeć się temu...

MELEANDER. Nie wiem czego zamierza niebo żądać od człowieka, skoro go otoczy takimi duszami...

SELIZETA. Jest wprawdzie bardzo marnem, drobnem stworzeniem, Meleandrze, ale i ja pragnęłabym stać się piękniejszą niż jestem, i ja chciałabym także aby mnie kochano z płaczem, jak ty płaczesz, kiedy ją uwielbiasz.

MELEANDER. O kim to mówisz?..

SELIZETA. Mówię ci o tej, o której myślisz niezawodnie ilekroć nie mówisz...

MELEANDER Kiedy jestem przy tobie myślę o niej a kiedy jestem przy niej, myślę wtedy o tobie...

SELIZETA. Ja to wiedziałam dobrze, że to nie jest już to samo, ani łyż też same, Meleandrze... Tamte łyży przychodzą gdzieś z bardzo daleka, nie jak te, które litość wy-ciska i ja wiem, że tych łyż nie można zapomnieć nigdy... A chociaż mi powiadasz, że mnie kochasz dlatego, abym była mniej smutną, nie będziesz mógł nigdy powiedzieć mi tego, co mówisz Aglawenie...

MELEANDER. Nie wiem czy mówiłbym to samo, Selizeto. Nie mówi się ściśle nigdy, tego, co się chce powiedzieć a ilekroć, chce

się mówić z głębi duszy do kogoś, kogo się kocha, zawsze odpowiada się tylko na pytania, których uszy nie słyszą bynajmniej... Pytania zaś, zadawane przez duszę nie są nigdy jednakie... I dlatego to słowa nasze różnią się jedne od drugich, choć my o tem nie wiemy... Ale te pytania które zadaje twa dziecięca duszyczka, biedna moja Selizeto, są również pięknymi jak owe, co płyną z duszy Aglaweny... Pochodzą tylko z innej sfery, oto i wszystko... I dlatego też nie smuć się, Selizeto... Nie trzeba być zazdrosną o dusze... Czy sądzisz, że w gruncie ja nie mówię z tobą w tej chwili tak, jakbym mówił z Aglaweną?... Czy sądzisz, że można jakiejś istocie mówić co innego nad to, co ja mówię tobie?... O, moja piękna Selizeto! gdyby anioł z niebios zstąpił w me ramiona, aby tam zająć twe miejsce, nie mógłbym otworzyć przed nim duszy mojej z większą prostotą, ani bardziej do głębi, jak ją otwieram teraz przed tobą... A wszystko inne, co trzeba byłoby dopowiedzieć jeszcze, nie może być wypowiedzianem tu, na tej ziemi... Czekajmy, Selizeto; Aglawena odejdzie lub nie odejdzie, ona jedna wie co ma uczynić i nie myli się z pewnością... Ale czy pozostanie z nami czy nas opuści, w każdym razie nauczyła mnie pojmować twą piękność i kochać cię tak, jak

nie umiałem kochać dotąd... Jakbądź, Selizeto, jeśli trzeba tu płakać jeszcze, nie ty, z pewnością już płakać powinnaś... A wreszcie, czy sądzisz że bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś ty odeszła od nas, dziecko moje?... I czy wyobrażasz sobie, że szczęście, które byłoby ugruntowane na cierpieniach istotki tak czystej, tak łagodnej i dobrej, jaką ty jesteś, byłoby szczęściem trwałem i godnem nas obojga?... Czy sądzisz, że mógłbym całować Aglawenę i że ona mogłaby mnie kochać, gdyby jedno z nas zdecydowało się przyjąć takie szczęście? Kochamy się po nad nami samemi, Selizeto, kochamy się w tem co nas jest pięknego i czystego i tam to spotykamy się z tobą również; a od niejakiego czasu, dzięki tobie, nie powinniśmy kochać się już inaczej, jak widząc ciebie wśród nas... Chodź więc, podaj mi twe usta... Tego wieczora składam na ustach twej duszy pocałunek, Selizeto... Chodź, zdaje mi się, że już północ wybiła... Pójdźmy zobaczyć czy Aglawena płacze jeszcze we śnie.. (Wychodzą wewzajemnym uścisku).

SCENA II.

Apartament w zamku. Wchodzą: Aglawena i Meleander.

AGLAWENA. Czy słyszysz, że drzwi się zamknęły?

MELEANDER. Słyszałem.

AGLAWENA. To Selizeta... Posłyszała że idziemy i chce nas samych pozostawić...

MELEANDER. Mówiła mi, że idzie dziś na swoją wieżę; powiadano jej o jakimś wielkim osobliwym ptaku...

AGLAWENA. Była tutaj, jestem tego pewną; i cała komnata tak wygląda, jakgdyby oczekiwała jej powrotu... Patrz na te różne przybory jej do roboty, które pozostawiła na oknie... niotki jedwabiu, nici złote i srebrne, perły i kamienie...

MELEANDER. A tutaj jej pierścień, na którym wyryte są nasze imiona... Tu fijołki a tutaj jej chustka... (ujmuje w rękę chustkę; za jej dotknięciem zadrżał). Ach!...

AGLAWENA. Co to?

MELEANDER. (podając jej chustkę). Weź...

AGLAWENA. Ach!...

MELEANDER. Zachowała dla nas ciepło jej łez...

AGLAWENA. Widzisz więc, Meleandrze... skoro ona nie mówi, najdrobniejsze rzeczy będą mówić za nią, aby mi powiedzieć, że czas już... (Biorąc chustkę). Daj mi ją, Meleandrze... Biedny świadku tego wszystkiego, co ukrywają przed nami, trzebaby być umarłą chyba, aby cię nie zrozumieć...

MELEANDER. Aglaweno... (Chce ją uściskać).

AGLAWENA. Nie całuj mnie dzisiaj... Kochaj ją bardzo, Meleandrze... Jestem smutną

i szczęśliwą zarazem z tego, że ona tak cierpi a w tem cierpieniu staje się coraz piękniejszą...

MELEANDER. Nie wiem w co mi uwierzyć trzeba, moja Aglaweno... Czasami wydaje mi się, że ją kocham nieomal tak, jak kocham ciebie, a czasami, że ją kocham więcej niż ciebie, bo ona jest dalszą odemnie i bardziej niewytłumaczoną... A potem skoro ciebie znów zobaczę, wszystko zaciera się dokoła niej, nie dostrzegam jej już niemal... a jednak gdybym ją miał utracić na zawsze, nie mógłbym nigdy uścisnąć ciebie bez głębokiego smutku...

AGLAWENA. Wiem dobrze, że ją kochasz, Meleandrze, i dlatego to właśnie trzeba mi odejść...

MELEANDER. Ale ja jej nie mogę kochać inaczej jak w tobie jedynie, Aglaweno, a skoro ty będziesz ztąd daleko, ja jej już kochać nie będę...

AGLAWENA. Wiem dobrze, że ją kochasz, Meleandrze, i wiem to tak doskonale, że nie jeden raz nie mogłam się powstrzymać od tego, aby nie zazdrościć twej miłości temu biednemu dziecku... Nie powinienes uważać mnie za doskonałą... Jeżeli Selizeta nie jest już tem, czem się być wydawała, ja zmieniłam się niemniej również żyjąc pośród was... Przybyłam tu rozumniejszą niż nią

być należy, byłam przekonana, że piękność nie powinna troszczyć się o łzy, które się leją z jej przyczyny i wierzyłam w to, że dobroć nie ma innego przewodnika nad mądrość... Ale teraz przekonałam się, że dobroć nie potrzebuje być mądrą i że więcej to warte, skoro jest więcej ludzką i szaloną... Uważałam się za najpiękniejszą z kobiet a teraz poznałam że najdrobniejsze twory są jednak, jak ja, piękne, nie wiedząc o tem, że są pięknymi... Kiedy patrzę na Selizetę, zapytuję się co chwila: czy wszystko to, co ona czyni naoslep w swej duszy dziecięcej, nie jest daleko większem i tysiące tysięcy razy czystsze, niż wszystko to, co bym ja mogła uczynić... Jest ona niewypowiedzianie piękną, kiedy nad tem się zastanawiam w głębi duszy, Meleandrze... Dość jej schylić się, aby znaleźć skarby niesłychane w własnem sercu i przychodzi ona ofiarować te skarby z drżeniem, jak dziecko ślepe, które nie ma pojęcia, że dwie jego dłonie pełne są klejnotów i pereł drogotnych...

MELEANDER. To dziwne, Aglaweno... że skoro ty mówisz mi o niej, ja wówczas ciebie samą uwielbiam i kocham więcej jeszcze... Nic w świecie nie zdoła przeszkodzić temu, aby to wszystko co mi mówisz o niej, spa-

dało napowrót na ciebie; i choćby Bóg sam stanął w jej obronie, ja nie mógłbym jej kochać jak kocham ciebie...

AGLAWENA. To niesprawiedliwość miłości, Meleandrze; gdybyś przedemną słał twego brata, wiem dobrze, że tak samo ty stałbyś się przez to piękniejszym w oczach moich... Chciałabym całować cię i płakać, Meleandrze... Niepodobieństwem więc jest ludziom przestać się kochać, kiedy się raz już pokochają!...

MELEANDER. Tak; sędzę, że to niepodobieństwem jest, Aglaweno... Przekonałem się o tem i ja również, niedawno, kiedym to rozmawiał z Selizetą, bo w tym czasie kiedy z nią mówiłem, miłość nie chciała być zależną od tego co ona mówiła, od tego com myślał, ani od tego, co ona myślała..

AGLAWENA. Kiedy tu przybyłam, Meleandrze, zdawało mi się, że wszystko jest możliwem i że nikt nie będzie cierpiał... Ale dziś widzę, że życie nie chce być posłusznem naszym najpiękniejszym zamiarom... I wiem równocześnie, że gdybym została w pobliżu ciebie wtedy, kiedy inni cierpią z tego powodu, nie byłabym już tem czem ty jesteś a nasza miłość nie byłaby już podobną do obecnej naszej miłości...

MELEANDER. Może to i prawda, Aglaweno..

A jednak czyżby słusność nie była po naszej stronie?...

AGLAWENA Ach! jakże to niewiele mieć za sobą słusność, Meleandrze; zdaje mi się, że lepiej jest nie mieć za sobą słusności przez całe swe życie a nie przyczynić nigdy łez tym, co słusności nie mają... Wiem także wszystko, co możnaby powiedzieć; ale dlaczego to mówić, skoro wiemy dobrze, że to nic zmienić nie zdoła w jednej głębszej nad wszystko prawdzie, która nie uznawałaby słów najpiękniejszych... Słuchajmy tylko tego, co nie jest frazesem. To co kieruje życiem naszym, mimo wszystkich naszych uczynków, to tylko jedynie prostota rzeczy; i mylim się zawsze kiedy chcemy walczyć przeciw temu co jest proste. Kto wie, dla jakich przyczyn spotkaliśmy się z sobą wówczas, kiedy już było zbyt późno; i któż śmiałby powiedzieć, że przeznaczenie nie jest Opatrznością... Dziś słucham twojej duszy i mojej; a to co my powiedzielibyśmy, nie zdoła przetworzyć tego co czuję, jakkolwiek ono decyduje o wszystkim w głębi nas samych... Tacyśmy rozumni w tej chwili, mój biedny Meleandrze, że ci, coby nas posłyszeli wypadkiem, odeszliby mówiąc: „Tych ludzi miłość jest bardzo chłodną lub może nie wiedzą oni nawet, co to jest miłość prawdziwa“, ponieważ

kochamy się tam, gdzie kochankowie jednogodzinni nie myślą wcale o kochaniu...

MELEANDER, (obejmując ją). Kocham cię, Aglaweno moja, i to w tem rzeczywiście kochają się ludzie najszczerzej...

AGLAWENA, (obejmując go z kolei). Kocham cię, mój Meleandrze, i to jest właśnie miłość, jaką się ukochało na zawsze... (Milczenie).

MELEANDER A teraz, Aglaweno moja, czyś pomyślała już o tem czem będzie życie nasze, skoro tak będziemy rozłączeni, zdała jedno od drugiego i kiedy z całej naszej wielkiej miłości nie pozostanie nic nad drobne wspomnienie, które musi maleć zwolna jak wszystkie wspomnienia? Co ja tu robić będę na rok przyszły? Co ty tam robić będziesz w przyszłym roku?.. Każdy dzień, każdy miesiąc będzie nas nużył więcej tem wiecznem wyciąganiem ramion w próżnię... Niestety! Aglaweno moja, nie chcę ja płakać i chyba trzeba by takim złaćzyć się uściskiem, w którym pękłoby serce... Daremnie zapewnialibyśmy się wzajemnie, że kochać się będziemy, mimo lat wszystkich, po przez lasy i morza, co nas rozdziela; zbyt wiele chwil jest w naszym życiu biednym, gdzie najśłodsze wspomnienie pocieszyć nas nie zdoła po zbyt długiej nieobecności...

AGLAWENA Wiem dobrze, Meleandrze, że myśl o tem iż się jest kochanym wzajemnie, w słowach tylko może być pociechą, skoro się widzieć nie można... Tu bylibyśmy szczęśliwi a tam będziemy nieszczęśliwymi, to rzecz pewna... A jednak czujemy, jedno i drugie, że to, co czynię, należy uczynić... Ty płakać będziesz długo, ja będę płakała zawsze, bo nie wystarcza wiedzieć, że się spełniło rzecz piękną, aby przez to móżdż już wzbronić łzom, by nam nie napływały do oczu... A przecież, gdyby wiadomem ci było słowo, które nie zmieniając nic w położeniu, wzbraniałoby mi ztąd odejść, wiem, żebyś go nie wyrzekł... Trzeba poddać się cierpieniom nieznanym dla innych, kiedy się tak kocha to, co inni nie ukochali... Nie ma nagrody, mój biedny Meleandrze, ale my też nie oczekujemy nagrody... (Wycho-
dzą).

SCENA III.

U stóp wieży. Wchodzą: Aglawena i Meleander.

AGLAWENA. Widziałam ją przed chwilą na szczycie wieży, otoczona wieńcem mew, co wydawały przenikliwe okrzyki. Chodzi tam bezprzestannie od dwóch czy trzech dni; nie zdołam wypowiedzieć, jakie to

dziwne na mnie zawsze sprawia wrażenie... Wydaje mi się równocześnie niespokojniejszą jakąś i mniej smutną i powiedziałabyś, że coś się przyspasabia w tem jej serduszkę takim głębokiem...

MELEANDER Zdaje mi się w istocie że znowu uśmiecha się do swego dawnego życia Selizety - dziecka... Czy nie zauważyłaś, że śpiewa teraz, i że staje się coraz piękniejszą?... Stąpa przed nami jakgdyby jakieś niespodziewane światło ją oświecało... Czy nie lepiej byłoby nie wspominać o twym odjeździe, zanim się ona cokolwiek uspokoi i zaczekać aż to, co ją tak przetwarza utrwali się w jej duszy?...

AGLAWENA. Nie; ja jej to powiem sama dzisiaj..

MELEANDER. Ale jak jej to powiesz i czy nie lękasz się, że to dziecko, które jest już tak nas bliskiem i które mimo wszystkie swe łzy, żyje tylko w tobie, będzie cierpieć, skoro zobaczy, że ztąd odchodzisz tak samo, jak ty sama cierpiałabyś, gdyby istota jakaś, piękniejsza od ciebie, poświęcała dołą swoją losowi, który nie byłby wart jej losu?...

AGLAWENA. Nie mamy prawa ważyć losów innych ludzi, Meleandrze... A wreszcie, gdybym pozostała tutaj, nie byłabym równie piękną jak to dziecko; ja zaś wolę być

piękną zdala od ciebie, niż stać się mniej piękną w twoich objęciach, dlatego, że nie kochałbyś mnie już tak bardzo, gdybym nie była tak piękną... Ale myślałam także nad tem, co jej trzeba powiedzieć i pierwotnie chciałam skłamać, byle ona tylko nie cierpiała... Nie uśmiechaj się, mój Meleandrze... To prawda, ja zazwyczaj tak mało jestem kobietą, iż nie mogłeś sobie wyobrazić, abym posiadała również, gdzieś całkiem w głębi mej istoty, tą drobną mądrość wykrętną kobiet i abym umiała kłamać równie dobrze jak moje siostry, kiedy miłość oświadcza, że skłamać jest koniecznem... Chciałam więc powiedzieć jej, że cię już przestałam kochać, żem się na tobie zawiodła, że i ty już mnie nie kochasz jak pierwaj, a dalej tysiące drobnostek różnych, które zniżyłyby mnie w jej oczach tak dalece, że żal jej byłby zmaleł znacznie. Ale doprawdy, wobec jej wielkich oczu takich czystych, poczułam, że to byłoby niepodobieństwem, bo nie byłoby pięknem... A czyż lepiej płakać z powodu szlachetnego czynu, niż zawdzięczać radość swoją czemuś, co nie podnosi duszy?... Słuchaj... Słyszysz jak schodzi z piosnką na ustach po schodach wieży... Oddal się, Meleandrze; trzeba mi pomówić z nią samą, bo mnie powiada ona rzeczy, których nie może jeszcze mówić

tobie; a wreszcie nie zstępuje z swych niebiosów najpiękniejszych, jak wtedy tylko, skoro może zstąpić między dwie istoty, co są same... (Meleander odchodzi. Cisza, potem słyhać głos Selizety zbliżający się stopniowo).

Gdy opuścił mię
(Słyszałam drzwi skrzyp)
Gdy opuścił mię
Ona śmiała się

Lecz gdy wrócił sam
(Czułam lampy błysk)
Lecz gdy wrócił sam,
Inna była tam...

Widziałam śmierć-skon
(Czułam duszę jej)
I widziałam skon
Musiał zginąć on.

AGLAWENA. Och! Selizeto, jakie twe oczy jasne są i wielkie dzisiejszego ranka;...

SELIZETA. To dlatego, że miałam pewną myśl piękną, Aglaweno.

AGLAWENA. Powiedz mi ją, Selizeto, nie należy ukrywać pięknej myśli, bo to cieszy wszystkich...

SELIZETA. Nie mogę ci jej powiedzieć jeszcze, Aglaweno...

AGLAWENA. Powiedz jednak, Selizeto, może mogłabym ci być pomocną...

SELIZETA. To właśnie dręczy mnie, Aglaweno; chciałabym się zwierzyć komu, bo sama nie wiem... ale gdyby ktokolwiek wiedział o tym moim pomyśle, przestałby on już być tak pięknym...

AGLAWENA. Nie domyślałam się co to być może, Selizeto, ale zdaje mi się przeciwnie, że myśl, która jest piękną, staje się bez porównania piękniejszą jeszcze, kiedy ją inni podziwiać mogą...

SELIZETA. Ach, patrz Aglaweno!... I mała Selizeta ma także swoją tajemnicę, którą będzie umiała strzedz pilnie... Ale co byś ty zrobiła na mojem miejscu, gdybyś ty była tą małą Selizetą i gdyby inna Aglawena, jeszcze piękniejsza od ciebie, przyszła pewnego pięknego ranka całować Meleandra?

AGLAWENA. Zdaje mi się, że starałabym się czuć szczęśliwą tak, jakgdyby ktoś wniósł więcej światła w dom, i starałabym się ją pokochać, jak ty mnie kochasz, Selizeto...

SELIZETA. Nie byłabyś zazdrosną?

AGLAWENA. Nie wiem tego, Selizeto... gdzieś całkiem w głębi mej duszy, przez chwilę może... ale uznałabym, że to niedobrze i starałabym się być szczęśliwą...

SELIZETA. Ja już niebawem także będę szczęśliwą, Aglaweno...

AGLAWENA. Trzeba, abyś już ani minutę dłużej, nie była nieszczęśliwą, Selizeto...

SELIZETA. Byłabym zupełnie szczęśliwą, gdybym tylko miała tę pewność, że pomysł mój jest dobrym...

AGLAWENA. Dlaczegoż nie miałaby być dobrym, skoro cię czyni tak szczęśliwą...

SELIZETA. To tak trudno wiedzieć, Aglaweno, a ja jestem tak zupełnie sama...

AGLAWENA. Ale dlaczego nie chcesz mi zwierzyć się z tej myśli, jestem pewną, że mogłabym ci dopomódz...

SELIZETA. Tak, tak; tybyś mi dopomogła... ale ja chcę, żebyś mi dopomogła bezwiednie...

AGLAWENA. Chcesz więc coś ukryć przedemną, Selizeto?...

SELIZETA. Ukrywam coś, to prawda, ale po to tylko, aby ci pokazać wówczas, kiedy to będzie już bardzo pięknem...

AGLAWENA. Kiedy to będzie bardzo pięknem?

SELIZETA. Kiedy wiedzieć będę... kiedy wiedzieć będę... że i mała Selizeta może być piękną również... zobaczysz, zobaczysz... Och! pokochacie mnie oboje daleko więcej jeszcze..

AGLAWENA. Alboż można kochać cię więcej, Selizeto?...

SELIZETA. Jak jabym chciała wiedzieć, co byś ty uczyniła na mojem miejscu...

AGLAWENA. Gotowam ci to powiedzieć, Selizeto...

SELIZETA. Gdybym ci jednak wyznała, nie byłoby już to samo, a ty nie mogłabyś mi nawet powiedzieć prawdy...

AGLAWENA. Alboż nie mówiłam ci prawdy zawsze?...

SELIZETA. Tak, wiem o tem; ale tu nie mogłabyś jej powiedzieć...

AGLAWENA. Jakaś dziwna bardzo jesteś dzisiaj, Selizeto i powinnaś strzedz się, bo mogłabyś się omylić...

SELIZETA. Nie, nie; pozwól, że cię ucałuję, Aglaweno... im więcej cię całuję, tembardziej pewną jestem, że się nie mylę...

AGLAWENA. Nigdy nie miałaś oczu tak jasnych jak dzisiejszego ranka, moja kochana Selizeto... rzeczy można, że w twem ciele przebywa upojona dusza...

SELIZETA. I twoje oczy także są jaśniejsze niż zwykle, Aglaweno, a jednak chciałabyś je ukryć...

AGLAWENA. I ja mam ci coś powiedzieć, Selizeto...

SELIZETA. Och! cóż to takiego, Aglaweno?... możnaby myśleć, że i ty nie masz odwagi się przyznać... może to toż samo?...

AGLAWENA. Co: to samo, Selizeto?...

SELIZETA. Nie, nie... papłę ot, papłę... ale powiedz mi natychmiast co to takiego...

AGLAWENA. Obawiam się, że cię to zasmuci, Selizeto, a przecież to ci powinno przynieść szczęście...

SELIZETA. Ja już nigdy płakać nie będę, Aglaweno...

AGLAWENA, (chwytając ją za rękę). Co to znaczy, Selizeto? mówisz to z takim dziwnym jakimś wyrazem twarzy...

SELIZETA. Ale gdzież tam... nie będę już płakać odtąd, oto wszystko; czyż to nie naturalne?

AGLAWENA. Pozwól mi popatrzeć sobie w oczy...

SELIZETA. Patrz, patrz... cóż tam widzisz?

AGLAWENA. Daremnie utrzymują, że w nich widać naszą duszę; kiedy w nie spojrzysz, powiedziałbyś, że ona właśnie przed tobą ucieka... A gdy tak zatopię spojrzenie, z temi wszystkimi memi obawami, których nie śmiem wypowiedzieć, w czystej krynicy twoich oczu, zda mi się, że to one pytają mnie i mówią z drżeniem: „Co w nas czytasz?“ zamiast mi odpowiedzieć na pytanie, którego sformułować nie mogę... (Milczenie).

SELIZETA. Aglaweno?...

AGLAWENA. Selizeto?...

SELIZETA. Co to miałaś mi powiedzieć?...

AGLAWENA. Pójdź w moje objęcia, biedna Selizeto, której niestety! omal nie zabrałam

tego wszystkiego, co ona posiadała na własność...

SELIZETA. Tyś smutna, Aglaweno...

AGLAWENA. Nie, smutna nie jestem, bo ty będziesz szczęśliwą...

SELIZETA. Ciężkie to łzy zamierzam otrzeć...

AGLAWENA. Nie troszcz się o nie, moja Selizeto, a jeśli i ty płaczesz, ja twoje łzy otrę pierwej niż moje jeszcze.. Siadajmy tutaj, na progu wieży, abym, cię lepiej uściśnąć mogła, jak w ów wieczór, gdzie to rozmówiliśmy się z sobą szczerze, po raz pierwszy... czy pamiętasz ten wieczór, nad brzegiem rezerwarów? Miesiąc już minął od tej pory, moja biedna Selizeto; wiele rzeczy od tej chwili zamarło, wiele zrodziło się znowu, i dusza widzi w nich jaśniej. Daj mi ust twoich, Selizeto, niech je ucałuję tak głębokim prawdziwie ludzkim pocałunkiem, jakim tylko ludzka istota może obdarzyć inną istotę ludzką... Nie czeka nas już wiele chwil takich jak te, bo ja wyjeżdżam jutro a wszystko, co się czyni po raz ostatni, wydaje się naszym biednym sercom tak głębokiem i tak ważnem...

SELIZETA. Odjeżdżasz jutro?

AGLAWENA. Tak, jutro Selizeto; i to właśnie miałam ci do powiedzenia.. pierwotnie chciałam to utaić przed tobą i skłamać może,

M. Maeterlinck. Aglawena i Selizeta

aby opóźnić zrobienie ci przykrości... ale widząc cię tak piękną, kochając i ceniąc tak wysoko, nie miałam serca oszczędzenia ci boleści, która cię zbliży do nas jeszcze więcej. A wreszcie, skoro istoty próbowały jakoś żyć choć cokolwiek zgodnie z prawdą i pięknem ducha, jak my żyliśmy wszystko troje przez ciąg tego miesiąca, atmosfera zmienia się, i już nie można wypowiedzieć rzeczy, któraby była niezgodna z prawdą... Kiedy więc pomyślałam o tobie, poczułam natychmiast, że to byłoby niepodobieństwem... I dlatego to przychodzę ci powiedzieć, że odjeżdżam jutro w tym celu, abyś ty była szczęśliwą i przychodzę powiedzieć ci to prosto, bez ogródek, abyś wiedziała ile cierpię zład odchodząc i abyś wzięła swoją część w tem poświęceniu; bo wszystko troje czynimy z siebie ofiarę na rzecz czegoś, co nie ma nawet nazwy a co przecież jest daleko silniejszym od nas... Ale czy to nie dziwne, Selizeto? Kocham ciebie, kocham Meleandra, Meleander mnie kocha, kocha i ciebie również, ty nas kochasz, jedno i drugie, a jednak nie moglibyśmy żyć szczęśliwi wszyscy razem, bo nie nadeszła jeszcze chwila, w której ludzkie istoty mogłyby w takim z sobą żyć złączeniu... I odchodzę, prosząc cię, abyś mój odjazd przyjęła tem sercem, jakim ci go ofiaruję..

Przyjmując go w ten sposób, biedna moja Selizeto, dokonasz rzeczy również pięknej jak ta, którą ja spełniam i poświęcenia być może jeszcze większego niż moje; ponieważ ten, dla którego się poświęcamy, nie tyle jest szczęśliwym jak ten, który się poświęcał... Kocham cię, Selizeto moja i uściskę cię jak będę mogła najmocniej... Czy nie wydaje ci się, kiedy tak jesteśmy jedna w objęciu drugiej, w prawdzie najprostszej dusz naszych, czy nie wydaje ci się, że się stykamy z czemś, co jest daleko większem, daleko wznioślejszem, niż my?...

SELIZETA. Nie odjeżdżaj jutro jeszcze, Aglaweno...

AGLAWENA. Dlaczego nie odjeżdżać jutro, skoro odjechać trzeba?...

SELIZETA. Proszę cię, nie odjeżdżaj, dopóki ci sama nie powiem...

AGLAWENA. A czy powiesz niezadługo?

SELIZETA. Tak, teraz jestem pewną... Czy Meleander wie o tem, coś mi powiedziała?

AGLAWENA. Wie.

SELIZETA. Nie jestem już teraz smutną, Aglaweno...

AGLAWENA. Co byłąbyś zrobiła, Selizeto, gdybym odjechała, nie nie powiedziawszy?

SELIZETA. Byłabym cię ścigała i sprowadziła napowrót, Aglaweno...

AGLAWENA. A gdybyś mnie nie odszukała?

SELIZETA. Byłabym szukała cię przez całe życie moje, Aglaweno...

AGLAWENA. Lękam się, abys ty nie odjechała przedemną jeszcze, Selizeto, i czy to nie jest czasem ów pomysł, o którym mówiłaś poprzednio...

SELIZETA. Byłby to pomysł niezbyt szczęśliwy, Aglaweno, a ja teraz mam pomysł szczęśliwy... Ja także myślałam odjechać ztąd, nie mówiąc nic nikomu, ale teraz...

AGLAWENA. Ale teraz nie odjedziesz?

SELIZETA. Nie, nie, Aglaweno moja, nie opuszczę tego zamku...

AGLAWENA. Czy mi to przyrzekasz z głębi twej duszy?

SELIZETA. Z głębi duszy i na wieczne moje zbawienie, Aglaweno...

AGLAWENA. Nie wiem, czy nie byłoby stokrót lepiej, gdybym nie była tu przybywała wcale...

SELIZETA. Gdybyś nie była weszła w ten dom, nie byłabym nigdy ani nieszczęśliwą, ani szczęśliwą, byłam pierwej niczem...

AGLAWENA. (Kto wie czy dozwolonem jest budzić tych co śpią; zwłaszcza kiedy sen ich jest niewinnym i słodkim...

SELIZETA. (Musi być dozwolonem, Aglaweno, skoro już nie chcą potem zasnąć napowrót... skryłabym się pod ziemię, skoro pomyślę o tych czasach, w których nic nie widzia-

łam jeszcze... Kochałam Meleandra, jak ślepiec, i nie wiedziałam... Czy to moja wina, jeśli taka maluczka?... Ale teraz... Tej nocy on spał, a ja przypatrywałam mu się we śnie... potem... Mogę ci to opowiedzieć, Aglaweno?...

AGLAWENA (obejmując ją). Selizeto, moja małeńka Selizeto...

SELIZETA. Potem, ucałowałam go; nie zbudził się... Widziałam równocześnie gwiazdy na błękitie szyb; i było to tak zupełnie, jakgdyby wszystkie te gwiazdy zstąpiły same z siebie, aby mi niebo wnieść do duszy... O! moja biedna Aglaweno, ty tego wiedzieć nie będziesz nigdy, boś ty naprzód już wiedziała... Ale móź powiedzieć z otwartymi oczyma, móź powiedzieć „kocham cię“ komuś, kogo się kocha!... Dziś rozumiem... Nie wiem czemu, przez ten czas cały czułam, że pragnę odejść, lub umrzeć... Szczęśliwą jestem i pragnęłabym umrzeć, aby być szczęśliwszą jeszcze...

AGLAWENA. Niebezpiecznie jest marzyć o śmierci, kiedy się jest zbyt szczęśliwą... Mamże ci wyznać?.. Przez chwilę bałam się, że ta myśl, o której mówiłaś...

SELIZETA. Tak...

AGLAWENA. Bałam się, czy to nie była ta myśl właśnie...

SELIZETA. Nie obawiaj się, Aglaweno, to

byłaby myśl, godna niedojrzałej całkiem dziewczynki...

AGLAWENA Tak, to byłaby myśl zaślepionych serduszek, które nie mogą dowieść miłości inaczej jak przez śmierć... Trzeba, przeciwnie, żyć, kiedy się kocha; a im więcej się kocha, tem więcej, tem pełniej żyć trzeba... A wreszcie ja dobrze wiedziałam, że ty nas zanadto kochałaś, aby nas kochać w ten sposób... I nie zastanawiając się nawet nad tem głęboko, to pewne, że gdyby się chciało rzeczywiście nieszczęścia dla dwu istot, nie podobnaby uczynić nic okrutniejszego, jak postawić między nimi dwojgiem taką śmierć niezawinioną...

SELIZETA. Czy pozwolisz, abym i ja z kolei przyznała ci się do czegoś, Aglaweno?

AGLAWENA Trzeba wszystko wyznać, jak ja ci wszystko wyznałam, kochana moja Selizeto... tak nam dobrze wówczas, kiedy już między dwoma istotami nie stoi nic, choćby to był nawet kwiatek tylko, poza którym mogłaby się ukryć myśl niepodzielona...

SELIZETA. Myślałam istotnie o tem przez jedną chwilę...

AGLAWENA. Aby umrzeć?

SELIZETA. Tak jest; dawniej... Ale powiedziałam sobie zaraz to, co powiedziałaś teraz; a wtedy znalazłam inne wyjście...

AGLAWENA Jakież?

SELIZETA. O! to zupełnie co innego i coś wspólnego raczej z życiem... Ale nie czas jeszcze o tem mówić... Zobaczysz... Niech cię ucałuję, Aglaweno... nie wiem co mi jest... doprawdy, powiedziećby można, że dusza moja... — Wszakżeś to ty tak się wyraziła? — Powiedziećby można, że dusza moja jest upojoną... I teraz nakoniec wiem już, co byś ty uczyniła na mojem miejscu... (Wychodzą, obejmując się uściskiem).



AKT CZWARTY.

SCENA I.

Taras pochyło schodzący ku morzu. Wchodzi i spotykają się: Aglawena i Selizeta.

AGLAWENA Słońce podnosi się ponad morzem, Selizeto; i czy widzisz radość spokojną a głęboką fal? Czy nie doznajesz wrażenia, jakgdybyś sama jedna była na świecie, wśród chłodu i ciszy przezroczej jutrzeńki, i jakby wszystko to, co się mówi, uczestniczyło w tym brzasku dnia?... Dzień będzie piękny ponad wszystkie, Selizeto; czyż nie powinnam dziś odjechać?

SELIZETA. Nie, nie; ty nie odjedziesz...

AGLAWENA. Jakaś ty piękna, piękna i coraz, coraz piękniejsza z każdą zorzą, co wstaje, Selizeto... Czy mi nie powiesz co cię tak przeobraża, abym i ja wzięła w tem udział zanim ztąd odejdę?... Czy to dusza twoja tak upaja się niewinnością, czy modliłaś się do jakiegoś Boga, którego ja nie znam, lub czy też pokochałaś tak, jak nigdy nie kochałaś jeszcze?..

SELIZETA. Tak, zdaje mi się, że kocham teraz więcej, Aglaweno...

AGLAWENA Wysłałam na twoje spotkanie, bo cię widziałam przed chwilą z okien mego pokoju... Złękałam się o ciebie, Selizeto... Przechylałaś się, przechylałaś całym ciałem, przez stary mur rozsypujący się w gruzy na samym szczycie wieży... Wydawało mi się przez chwilę, że widzę jak się staczają z niego kamienie... (Pobladłam, pobladłam tak okropnie i zimno mnie przeszło, jak nie wiedziałam, że zbłądnąć można... i czułam, że życie całe zawisło mi na ustach... Poraz to pierwszy poczułam w ustach prawdziwy smak życia, czy też smak śmierci, kto to zgadnie... Otworzyłam okno i krzychałam długo, by cię ostrzedz, aleś ty nie zrozumiała mnie... Nie trzeba tak kusić podstępного losu. Coś ty tam robiła na górze? już po raz trzeci cię tam widzę.. Dłonie twoje zdawały się odrywać kamienie... Co to było takiego, Selizeto? Wyglądałaś tak, jakgdybyś szukała czego w próżni...

SELIZETA. Szukałam czegoś w rzeczy samej... Nie wiesz tego jeszcze?... Ale naprzód nie obawiaj się, niema zupełnie czego się lękać... Moja stara wieżycya jest daleko mocniejsza, niż sądzą wszyscy, i długo stać będzie, dłużej niż my wszyscy. Nie wiem dlaczego tak się zawzięliście na nią? Niko-

mu dotąd nie zrobiła nic złego a ja wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że jej kamienie ani się ruszą... Ale tyś jej nie widziała?... Nie wiesz zatem nic, co się dzieje o kilka kroków od ciebie?... Przybył do nas przed pięciu czy sześciu dniami ptak jakiś nieznan, który krąży niezmęczenie dokoła mej wieży... Skrzydła ma zielone, ale to osobliwszej jakiejś bladej zieleni, której trudno określić... A czego nie można sobie wytłumaczyć już zupełnie, to, że z każdym dniem rośnie formalnie... Nikt nie umiał mi powiedzieć, z jakich on okolic przybywa... Zdaje mi się, że ulepił sobie gniazdo w jednej ze szczelin muru, i to tuż właśnie pod tem miejscem, gdzieś widziała n. nie dziś przechyloną...

AGLAWENA. Czy to klucz od wieży ten wielki złożony, którym się bawisz?...

SELIZETA. Ależ tak, to ten sam, który to upadł mi tego dnia, kiedyś do nas przybyła...

AGLAWENA. Daj mi go, proszę...

SELIZETA. Dać ci?... Na co?...

AGLAWENA. Chciałabym przechować go aż do dnia mego odjazdu...

SELIZETA. Dlaczego to, Aglaweno?

AGLAWENA. Nie wiem sama tego stanowczo... Nie chodź tam już na tę wieżę, aż po moim wyjeździe, Selizeto, i niech ten ptak z zielonemi skrzydłami już nie budzi

w tobie niepokoju... Miałam przykry sen, w który i on był wplątany...

SELIZETA. O patrz, Aglaweno, widzisz go... Mnie on tak dalece znów nie zajmuje... Widzisz jakie ciężki, Aglaweno...

AGLAWENA. Ciężki jest w samej rzeczy...

SELIZETA. Ucałuj mnie, Aglaweno, czy sprawiłam ci przykrość?...

AGLAWENA. Nie, tyś dotychczas nigdy nikomu nie sprawiła przykrości... Oczy masz łez pełne...

SELIZETA. To dlatego, że patrzałam w słońce przez ten czas, kiedyś cię ścisnęła, Aglaweno... Uściśnij mnie raz jeszcze... Pójdę do Meleandra, powiedział mi, że dziś wstanie wcześniej... do widzenia, Aglaweno...

AGLAWENA. (powoli). Do widzenia, Selizeto... (Selizeta wychodzi, Aglawena czeka dopóki się nie oddaliła, potem dochodząc do skraj tarasu, przypatruje się przez chwilę złotemu kluczowi i nagle rzuca go od siebie daleko, w morze. Następnie i ona wychodzi).

SCENA II.

Komnata w zamku. Widać Meligranę uspio-ną w głębi pokoju.—Wchodzi Selizeta, trzymając małą Issalinę za rękę.

SELIZETA. Najpierw pójdziemy ucałować babkę; bo któż ją będzie całował, skoro my

odejdzim? a jednak ona potrzebuje pieśczoć tak samo jak inni... Ale nie mów nic... Aglawena zabrała mi klucz od naszej wieży, bo się bała... Ale ja znalazłam ten drugi klucz, wiesz ten, który to myślałyśmy że zginął... I wejdziem na górę tak, aby nikt nie wiedział; i złapię ci tego zielonego ptaka..

ISSALINA. Czy podarujesz mi go zaraz?

SELIZETA. Podaruję, jeśli nic nie powiesz nikomu... Ale bądź ostrożną... Zbudzę babkę... Czy ja wyglądam na nieszczęśliwą, Issalino?

ISSALINA. Co mam powiedzieć, żebyś była szczęśliwą, siostrzyczko?

SELIZETA. Powinnaś powiedzieć prawdę... Nie trzeba, aby babka wyobrażała sobie, że jestem nieszczęśliwą... Widzisz, czasami, kiedy człowiek jest bardzo szczęśliwym, ludzie się myślą i sądzą, że się płakało... Nie widać przecież, że płakałam?

ISSALINA. Czekaj, niech ci się dobrze przypatrzę, siostrzyczko...

SELIZETA. Nie znać nic?

ISSALINA. Schyl się jeszcze cokolwiek, siostrzyczko...

SELIZETA. Czekaj, niech cię podniosę i ucałuję równocześnie... Nie widzisz nie?...

ISSALINA. Nie można wiedzieć napewno kiedy płaczesz, siostrzyczko; nie płaczesz nigdy głośno...

SELIZETA. Ależ ja nie płakałam wcale. Zdaje mi się, że jakiś pyłek, czy trochę popiołu, coś czego nie widać wcale... A gdyby potem pytano cię dzisiaj, skoro będziesz sama: „Co ona mówiła, co robiła, czy była bładą, albo smutną?“ Nie trzeba odpowiadać zaraz, jeśli zobaczysz, że się obawiają lub że ci, co cię otaczają, będą bladzi... Ale trzeba ci zapamiętać, że wyglądałam na szczęśliwą zupełnie, bo to widać zaraz przecież, że przez cały czas się uśmiechałam... i nie trzeba nigdy taić prawdy... A teraz, bądźmy grzeczne, bo idziem do babki... Ach, jak ona wygląda opuszczenie!... (Zbliżyła się do Meligrany i całuje ją długo). Babko...

MELIGRANA. (nie przebudza się). To ja, babko... Śpi głęboko... Babko, przychodzę cię pożegnać...

MELIGRANA. (budząc się). Ach to ty, Selizeto?...

SELIZETA. Tak, babko, i przychodzę ucałować cię z Issalinką, bo idziemy dziś na przechadzkę...

MELIGRANA. Dokąd idziecie?

SELIZETA. Nie wiem jeszcze, ale chcemy iść gdzieś dalej, niż zazwyczaj... Nie powrócimy przed wieczorem... Czy masz wszystko, czego ci potrzeba, babko?... Aglawena przyjdzie dojrzyć cię za mnie... Czy mam ci poprawić poduszki zanim odejdę?... Ja tylko jedna umiem cię podnosić, nie sprawiając

ci bólu. Ale i Aglawena tego się nauczy... Ona taka dobra, że będzie umiała wszystko zaraz, jeśli jej tylko pozwolisz sobie posłuchać... Chcesz, to ją przywołam?...

MELIGRANA. Nie, nie; spać będę do twego powrotu...

SELIZETA. Bądź zdrowa, babko, bądź zdrowa...

MELIGRANA. Do widzenia, Selizeto, powróć przed wieczorem tylko... (Selizeta wychodzi nagle, pociągając za sobą małą Issalinę za rękę).

SCENA III.

Kurytarz zamkowy. Meleander spotyka się w przejściu z Selizetą, która trzyma Issalinę za rękę.

MELEANDER. Dokąd to tak się spieszysz, Selizeto?

SELIZETA. Nigdzie, Meleandrze... Szukamy sobie jakiegoś chłodniejszego miejsca aby się ukryć przed słońca żarem...

MELEANDER. To prawda, że dziś kamienie zdają się jak w tyglu topić wśród murów, morze jest jak jakieś pałające jezioro, nieczysty chłód lasu, nawet dziś jest jakby cieniem tylko płonącego stosu a słońce wygląda jak lew rozszałały, pożerający wielki obszar niebios... Pocałuj mnie, Selizeto

bo twoje pocałunki, to wszystko co nam pozostało jeszcze z rosy poranka...

SELIZETA. Nie, nie mam czasu; czekają na mnie gdzieś, ucałujesz mnie jeszcze wieczorem...

MELEANDER. Co tobie, Selizeto?

SELIZETA. Ach! to taka drobnostka i minie tak prędko!...

MELEANDER. Co ty mówisz?

SELIZETA. Nic... nic... Ucałuj mnie, tylko prędko... (Całuje go gwałtownie).

MELEANDER. Ach!.. krwawią mi usta...

SELIZETA. Co?

MELEANDER. Trochę krwi z ust mi poszło... Twoje śliczne, drobne ząbki, zraniły mnie, Selizeto...

SELIZETA. Och! jakaż ze mnie... jakaż wilczyca... Czy cię boli, Meleandrze?..

MELEANDER. Cóż znowu... To nic... nic już...

SELIZETA. Wilczyca ze mnie, wilczyca... która godzina?

MELEANDER. Blisko już dwunasta.

SELIZETA. Dwunasta? Och nie mam już czasu, czekają już mnie... czekają... Bądź zdrow, Meleandrze...

MELEANDER. Selizeto, Selizeto, dokąd idziesz?

SELIZETA. (śpiewając oddala się pośpiesznie z małą Issaliną).

Gdy opuścił mnie
(Słyszałam drzwi skrzyp)
Gdy opuścił mnie
Ona śmiała się

(Meleander patrzy za oddalającą się, potem wychodzi).

SCENA IV.

Na szczycie wieży. Wchodzą Selizeta i mała Issalina.

SELIZETA. No, jesteśmy na samym wierzchu wieży, Issalino, teraz więc trzeba wiedzieć co robić... Och! jakże jasno na niebie, na ziemi i morzu dziś rano i dlatego ten dzień jest piękniejszym niż wszystkie dni inne?..

ISSALINA. Gdzież on jest, ten ptak zielony?

SELIZETA. Tam jest, ale go nie widać jeszcze... Przechyliły się przez mur, ale pierwaj patrz tędy... Widać ztąd cały zamek, dziedziniec wewnętrzny, ogrody i lasy... Wszystkie kwiaty rozkwitnięte są nad brzegiem sadzawek... O! jakaż trawa jest zielona tego ranka!.. Nie mogę dopatrzeć Aglaweny... O! ale czy widzisz tam Meleandra?... Czekaj na nią... Schył się, skryjmy się, nie trzeba, żeby nas tu spostrzegł...

Stoi nad brzegiem rezerwuarów, tam, gdzie to rozbudziłam Aglawenę...

ISSALINA. Siostrzyczko, siostrzyczko, patrz tędy. Widzę ogrodnika, który zasiewa jeszcze kwiaty dookoła domu...

SELIZETA. Będiesz widziała jak one powstają i rozkwitną Issalino i narwiesz ich dla mnie... Chodź, chodź, nie mogę już... Patrzmy tędy; ztąd widać tylko morze, które jest od nas dalej... (Przechodzą na drugą stronę wieży). I ono za piękne także!.. Nie można znaleźć ani jednego smutnego zakątką dzisiejszego ranka... Morze takie piękne, takie zielone i takie głębokie, że aż odchodzi oawaga... A ta moja mała Issalinka, jej to wszystko nie przeszkodzi uśmiechać się aż do wieczora... Widzisz, dziecko, te drobne fale, co się rozbijają o wybrzeże morskie? Nie mogę, nie mogę, mówię ci!.. Kwiaty i morze stają wprost moim zamiarom... Nie będę mogła nigdy tego zrobić za dnia...

ISSALINA. Och! mewy, patrzaj siostrzyczko, mewy zlatują!... Och! och! ileż ich!... ileż!... Ze dwa tysiące chyba!...

SELIZETA. Zlatują tu wszystkie razem stadami z drugiego brzegu morza... Powiedziałbyś, że przynoszą jakieś nowiny...

M. Maeterlinck. Aglawena i Selizeta

ISSALINA. Nie, nie; one znoszą ryby, siostrzyczko... A te ich małe, jakże kraczą w rozpadlinach murów... Dzioby mają większe niż one całe... Tam, tam, patrzaj, ta duża, co niesie węgorza!... Nie widzisz jej?... Ależ tam, ot tam... Już go zjadły... A ta druga znowu, z tamtej strony... A duże nie nie jedzą same... Jeszcze, widzisz?... stara nie nie zachowała dla siebie... To matka pewnie, siostrzyczko?

SELIZETA. Co ja powiedziałam babce, Issalino?

ISSALINA. Czemu ty płaczesz, siostrzyczko.

SELIZETA. Nie płaczę, dziecko, myślę tylko, myślę... Czy ja ucałowałam babkę zanim odeszłam?

ISSALINA. Tak, całowałaś ją, kiedyśmy odchodziły.

SELIZETA. Ile razy?

ISSALINA. Raz, siostrzyczko, raz jeden, spieszo nam było, nie miałyśmy czasu...

SELIZETA. Zdaje mi się, że nie byłam dla niej dosyć dobrą...

ISSALINA. Pilno nam było iść tu, siostrzyczko...

SELIZETA. Nie, nie; tak nie mogę... Sama będzie ona teraz, Issalino i już nie innego nie będzie pamiętać nigdy... Widzisz, kiedy się odchodzi i kiedy nie było się miłszą,

czulszą jak zazwyczaj, wtedy sądzą, że już się ich nie kochało... Ale to wprost przeciwnie sądziłoby należało; to (dlatego właśnie, że się zanadto kocha, boi się człowiek okazać uczucia... To prawda, że tak byćby nie powinno; bo daremnie im potem, chociażby żyli lat tysiąc jeszcze, silić pamięć, nie posłyszają już nigdy nic innego nad owo ostatnie wymówione do nich słowo... I ja to widziałam, kiedy matka nas odeszła... Nie uśmiechnęła się do mnie w ostatniej chwili, pamiętam to zawsze, że się nie uśmiechnęła do mnie... Rzekłbyś, że całe poprzednie życie za nic się już nie liczy... A co ja powiedziałam Aglawenie?... Nic już nie przypominam sobie... Trzeba mi raz jeszcze zobaczyć babkę... Inni, to dla nich... nie trzeba, aby wiedzieli cośkolwiek... Ale ona taka jest sama na świecie; i to nie dla niej idę na wieżę i nie dla niej z niej zstąpię... Rozumiesz że to niepodobna... Chodź, chodź, uściśniemy ją jeszcze raz, mocniej, serdeczniej... (Wychodzą).

SCENA V.

Komnata w zamku. Widać Meligranę uśpioną. Wchodzi Selizeta i mała Issalina.

SELIZETA, (budząc Meligranę) Babko...

MELIGRANA. Nareszcie powróciłaś, Selizeto... Długo kazałaś na siebie czekać...

SELIZETA Przebacz mi, babko, zdaje mi się, że nie byłam dobrą dla ciebie poprzednio...

MELIGRANA Ależ owszem, owszem, moja Selizeto, byłaś bardzo dobrą i miłą... Cóż to się stało? Wydajesz mi się tak pomieszaną?...

SELIZETA. Nie jestem pomieszaną, babko, ale czułam taką potrzebę powiedzenia ci, że cię kocham...

MELIGRANA. Wiem o tem Selizeto, dowiodłaś mi tego nie jeden raz w życiu i nigdy o tem nie powiättpiewałam...

SELIZETA. Tak, babko, jestem tego pewną; ale ja sama tak o tem jeszcze nie wiedziałam...

MELIGRANA. Przystępno bliżej, moje dziecko, bo wiesz, że nie mogę uścisnąć tych, których kocham, skoro ramiona nie chcą mi być już posłuszne... Ucałuj mnie dwa razy, kiedy to tylko sama jedna całujesz za nas obie... Dziwna jakaś mi się wydajesz dzisiaj, Selizeto... I nie wiedziałaś dotąd jeszcze, że mnie kochasz?...

SELIZETA Ależ owszem, owszem, wiedziałam, ale czasami wie się o czemś tak długo nie wiedząc... Potem, nagle, jednego dnia, mówisz sobie, że nie byłaś dobrą, że mogłaś daleko więcej uczynić i że nie kochałaś tak, jak kochać byłaś powinna... I chcia-

łoby się rozpocząć nanowo, zanim jeszcze będzie zapóźno... Nie mam już ojca ani matki, moja babko i byłabym zapomniała co to matka, gdyby ciebie tu nie było... Ale tyś nie opuściła Selizety - dziecka i byłam tak szczęśliwą, żem miała gdzie się udać, kiedy mnie jakie spotkało nieszczęście...

MELIGRANA. Ale cóż znowu, cóż znowu, Selizeto, to tyś mnie nie opuściła...

SELIZETA. Nie, nie, babko... Wiem dobrze, że to ty odemnie nie odeszłaś...

MELIGRANA. Takaś dziś poważna dziwnie, Selizeto, a jednak wydaje mi się, że nie jesteś smutną...

SELIZETA. Zawsze byłam tak szczęśliwą, moja babko, a teraz wiem już co to może być szczęście...

MELIGRANA. Przecież nie dlatego chyba, żeś je utraciła, Selizeto?

SELIZETA. Przeciwnie, dlatego, że mi się zdaje, iż je znalazłam, babko... A ty, babko czy także byłaś szczęśliwą?

MELIGRANA. Kiedyż to, Selizeto?

SELIZETA. Dawniej kiedyś, w swoim czasie, moja babko...

MELIGRANA. O jakich czasach mówisz, dziecko moje?...

SELIZETA. Mówię o życiu wogóle, babko...

MELIGRANA. Miałam dni ciężkie, jak wszystko to, co żyje na ziemi, dziecko moje, ale mogę powiedzieć, że byłam szczęśliwą, skoroś ty nigdy nie opuszczała naszego domu...

SELIZETA. Nie trzeba, aby szczęście od tego miało być zawisłem, moja babko... Więc nie mogłabyś już być szczęśliwą, gdyby mnie tu nie było?...

MELIGRANA. Ty możesz być szczęśliwą i wówczas kiedy mnie zabraknie, moje dziecko, bo tobie pozostanie tyle rzeczy jeszcze, kiedy ja już tu nie będę...

SELIZETA. Gdybyś mnie już nie miała, babko, pozostałaby ci Aglawena...

MELIGRANA. Ona przecież nigdy nie zasympiała na moich kolanach, Selizeto...

SELIZETA. Kochaj ją przecież jednak, babko moja.

MELIGRANA. Kocham ją, ponieważ ty ją kochasz, moje dziecko...

SELIZETA. Trzeba ją kochać przedewszystkiem dlatego, że to ona uczyniła mnie szczęśliwą.. Ona tak piękna, tak piękna, moja babko, że odkąd pocznało ją serce moje, nie mogę na nią patrzeć inaczej jak ze łzami w oczach...

MELIGRANA. Jakże dłonie twoje są palące dzisiaj, Selizeto...

SELIZETA. To ze zbytku szczęścia, babko...

MELIGRANA. Kocham cię bardzo, moja Selizeto...

SELIZETA. Czy sprawiłam ci kiedy jaką przykrość, babko?

MELIGRANA. Nie przypominam sobie, dziecko moje...

SELIZETA. O! tak, tak, przypomnisz to sobie niezawodnie... bo (zawsze sprawia się przykrość tym właśnie, których się kocha.. Ale trzebaby mi powiedzieć kiedy to najwięcej przyczyniałam ci smutku...

MELIGRANA. Nigdy innego przez ciebie nie zaznałam smutku, prócz chyba kiedy płakałaś; a i wtedy gdyś płakała, nie twoja to była wina... To wszystko co sobie przypominam...

SELIZETA. Nigdy już, babko, nie będziesz na lzy moje patrzała...

MELIGRANA. Widzisz przecie, Selizeto, że szczęście odchodzi i szczęście przychodzi wśród ludzi jak wahadło zegara i płakać należy o ile można jaknajpóźniej...

SELIZETA. Masz słuszność, babko; a kiedy szczęście do was powróci, dla nich dwojga i dla ciebie, moja babko, zgromadzisz ich koło siebie którego wieczora, a potem opowiesz im historię pewnej maleńkiej, całkiem maleńkiej dziewczynki...

MELIGRANA. Co ty mówisz, Selizeto?

SELIZETA. Nie, nie, babko... Myślałam o czasach, kiedy to byłam jeszcze zupełnie maleńką...

MELIGRANA. I ja także myślę często o tych czasach, moja córeczko... Nie byłam wtedy chorą jeszcze i mogłam cię nosić na rękach lub chodzić za tobą... Chodziłaś, biegałaś, wszędzie cię było pełno, śmiech twój rozlegał się po wszystkich salach, potem otwierałaś naraz drzwi, i krzyczałaś wystraszonym głosem: „Idzie już, idzie, przyszła, już jest tutaj!“ A nikt nie wiedział o kim myślałaś i kogo tak się lękałaś; tyś sama tego nie wiedziała pewnie; ale i ja udawałam także przestraszoną wielką, i biegałam z tobą przez długie korytarze aż na próg ogrodu... Wszystko to nie miało żadnego celu, moje dziecko, ale rozumialiśmy się jednak i pełno było zawsze śmiechu dniem i nocą... I tak to, dzięki tobie, byłam matką powtórnie wtedy, kiedy już nie byłam piękną ani młodą; a z czasem dowiesz się, że kobietom nigdy dość jest macierzyństwa i że gotowe byłyby kołysać choćby śmierć nawet, gdyby przyszła zasnąć na ich kolanach... Ale wszystko przemija z wolna, Selizeto, a i najmniejsze wyrastają w dorosłe z czasem...

SELIZETA Wiem to dobrze, babko, a i bo-

leści także przemijają z czasem, przemijają i odchodzą... Ale piękno trwa wiecznie, i inni są szczęśliwymi...

MELIGRANA. Kto ci to powiedział, moje dziecko?

SELIZETA. To Aglawena mówi mi to wszystko, moja babciu...

MELIGRANA. Jak oczy twoje błyszczą dzisiaj, Selizeto...

SELIZETA (tłumiąc łkanie). To dlatego, że kocham wszystkich, moja babko...

MELIGRANA. Zdaje mi się, że płaczesz, moje dziecko?...

SELIZETA. Nie, nie, ja nie płaczę... lub jeśli płaczę trochę, to płaczę tylko z radości...

MELIGRANA. Uściśnij mnie, Selizeto, uściśnij mocniej i zostań tu przy mnie...

ISSALINA. Siostrzyczko, chciałabym, żeby i mnie uściskano...

SELIZETA (odsuwając zlekka Issalinę). Nie, nie, moja Issalino, pozwól że ja ją sama tylko dziś uścisknę... niedługo nadejdzie dzień, w którym ciebie samą znów tylko pieścić będę z kolei... bądź zdrowa, babko, bądź zdrowa...

MELIGRANA. Selizeto!.. Co to jest?... Gdzie ty idziesz?...

SELIZETA (odrywając się). Bądź zdrowa, babko, bądź zdrowa...

MELIGRANA. Selizeto, zostań tu, zostań... Ja nie chcę... Nie chcę abyś ztąd odchodziła.. (Robi bezskuteczne wysiłki, aby podnieść i wyciągnąć ku niej rękę). Nie mogę, nie mogę... widzisz dobrze, Selizeto...

SELIZETA. I ja nie mogę już, babko... śpij spokojnie tej nocy i niech cię nie prześladowają sny przykre... bądź zdrowa, babko, bądź zdrowa... (Wychodzi pospiesznym, pociągając za sobą małą Issalinę za rękę).

MELIGRANA. Selizeto!... Selizeto... (Słysząc jak łka cicho, wpośród zwolna zapadającej ciemności).

SCENA VI.

Kurytarz zamku. Wchodzi Selizeta prowadząc za rękę małą Issalinę. Spostrzegłszy Aglawenę, która podchodzi ku niej, kryje się razem z małą Issaliną po za jednym z filarów, które podtrzymują sklepienie.

AGLAWENA, (zbliżając się). Czy to ty, Selizeto? Dlaczego się kryjesz?

SELIZETA. Nie wiem sama stanowczo dlaczego, Aglaweno... Sądziłam, że życzyłaś sobie być samą...

AGLAWENA. Gdzie szłaś, moja droga Selizeto?... I mała Issalina patrzy na mnie tak jakoś z pod oka... Spiskujecie coś?..

SELIZETA. Tak, przyrzekłam coś, co mi trzeba dotrzymać...

AGLAWENA. Gdzie ciągnęłaś za sobą Selizetę, Issalino? (Issalina nie odpowiada). Nie chcesz mi odpowiedzieć? A gdybym cię pieściła dopóty, dopóki mi nie powiesz tego?

SELIZETA. O! ona umie dochować tajemnicy, równie dobrze jak osoba dorosła...

AGLAWENA. Nie wiem, czy to z powodu zapadającego zmroku, ale wydajesz mi się bardzo bladą, Selizeto...

SELIZETA. Chciałabym cię uścisnąć, Aglaweno. (Uścisk długi).

AGLAWENA. Och! jakże usta twoje są słodkie dzisiejszego wieczora, Selizeto...

SELIZETA. I twoje także, Aglaweno... czuję się zaraz daleko szczęśliwszą, po twoim pocałunku... W ustach twoich jest jakaś moc dziwna, jakaś siła.

AGLAWENA. Świecisz dziś cała, jak gorejąca lampka, Selizeto... blask od ciebie bije...

SELIZETA. Nie widziałaś dziś babki?

AGLAWENA. Nie, czy mam iść do niej?

SELIZETA. Nie, nie, to nie potrzebne, ona śpi teraz... Szukałaś pewnie Meleandra?

AGLAWENA. Tak—a ty Selizeto?

SELIZETA. Skoro się z nim zobaczysz, ucałuj go odemnie... szczęśliwą jestem myśląc

o tem, że to ty go całujesz, kiedy mnie tu niema... kocham was tak, że zazdrośną byłabym, gdyby nie całował nikogo...

AGLAWENA. Ty to najpiękniejszą stajesz się teraz, Selizeto...

SELIZETA. Och! to się staje tak łatwem, Aglaweno, kiedy się wie... Ale czy nie uważasz, że Issalina się niecierpliwi i ciągnie mnie już za rękę?... Bądź zdrowa, Aglaweno, zobaczysz się ze mną później... (Wychodzi wraz z małą Issaliną, i słyhać śpiew jej, gdy się oddala).

Lecz gdy wrócił sam
(Czułam lampy błysk)
Lecz gdy wrócił sam,
Inna była tam...

I widziałam ją... Ach! Ach! (Śpiew ustaje i z kolei, Aglawena odchodzi).

SCENA VII.

Na szczycie wieży. Wchodzą Selizeta i mała Issalina.

SELIZETA. A teraz czas już, moja Issalinko, nie zejść już, aby się do nich uśmiechnąć raz jeszcze... Zimno tu jest na wieży; fale morskie polyskują tego wieczora pod pod-

muchem północnego wiatru... nie widać już kwiatów, nie słyhać ludzi i wszystko daleko jest smutniejsze niż dzisiaj rano...

ISSALINA. A ten ptak, gdzież on, siostrzyczko?

SELIZETA. Trzeba czekać aż słońce zajdzie całkowicie po za fale morza i wszelkie światło już zamrze na widnokręgu, bo on się lęka światła i nigdy jeszcze słońce i on nie spotkały się z sobą...

ISSALINA. A jeśli gwiazdy świecą, siostrzyczko?

SELIZETA. Jeśli gwiazdy świecą... (Przyglądając się niebu). Jeszcze gwiazd niema na niebie, ale już zejść mają, przebić ze wszech stron niebo, i trzeba się spieszyć, bo skoro zabłysną, okropniej będzie jeszcze...

ISSALINA. Zimno bardzo, siostrzyczko...

SELIZETA. Siądźmy tutaj za murem, który nas osłoni od wiatru, zanim ostatnia smuga czerwona zagaśnie na morzu... Czy widzisz jak słońce zanurza się powoli?... Skoro już zniknie, pójdę zobaczyć... Pozwól, owinę cię moją szarfą białą, mnie ona już niepotrzebna...

ISSALINA. Uściskałaś mnie za mocno, siostrzyczko...

SELIZETA. To dlatego, że jestem nad miarę szczęśliwa, Issalino; nigdy nie byłam jeszcze

tak szczęśliwa jak dzisiaj... Ale przypatrz mi się dobrze... Czyż nie jestem dziś piękniejszą, niż byłam przedtem kiedykolwiek?... Uśmiecham się, uśmiecham, czuję to... a ty, czemu się do mnie nie uśmiechniesz?

ISSALINA. Nie... mówisz za szybko do mnie, siostrzyczko...

SELIZETA. Czy ja mówię prędko?... O, bo mi tak spieszo...

ISSALINA. Tak, a potem szarpiesz wszystkie moje kwiaty...

SELIZETA. Jakie kwiaty?... Ach! te... Zapomniałam, że one do ciebie należą...

ISSALINA. Nie chcę, żebyś płakała, siostrzyczko...

SELIZETA. Ależ ja nie płaczę bynajmniej, moja Issalinko... tego właśnie nie powinnaś sobie wyobrażać... to urojenie... Ja się uśmiecham, i dlatego tak to wygląda, jakgdybym płakała.

ISSALINA. A więc, dlaczego oczy twoje tak wyglądają jakgdyby płakały?...

SELIZETA. Alboż można wiedzieć, co robią nasze oczy... Ale zapamiętaj to sobie: gdybyś miała powiedzieć komu, że wydawałam ci się smutną, będziesz za to bardzo długo karana...

ISSALINA. Dlaczego?

SELIZETA. Dla przyczyn, które z czasem

zrozumiesz... A zresztą, nie potrzeba mnie tak pytać, jesteś małym dzieckiem jeszcze i nie możesz dotąd rozumieć rzeczy, które są zrozumiałe dla innych... I ja nie rozumiałam także w twoim wieku, a nawet i długo potem jeszcze wielu rzeczy... Robię to czy owo, a to co ty widzisz nie jest bynajmniej najważniejszym... Widzisz, moja Issalinko, nie mogę ci tego powiedzieć a jednak potrzebowałabym powiedzieć to komuś, bo to tak smutno, kiedy my sami tylko o tem wiemy...

ISSALINA. Nie widać już prawie słońca, siostrzyczko...

SELIZETA. Zaczekaj, zaczekaj jeszcze, moja Issalinko, bo co innego się zbliża w miarę, jak ono się oddala, a ja widzę coraz jaśniej w miarę zbliżania się tamtego... Nie wiem już teraz, czy dobrze zrobiłam, zabierając cię z sobą na tę wieżę; a jednak trzeba było, aby tu ktoś przyszedł ze mną, bo są tacy, co zechcą wiedzieć wszystko, i którzy będą szczęśliwi, skoro się tylko nie dowiedzą prawdy... Teraz, siostrzyczko, wszystko co do ciebie mówię, ty tego nie pojmujesz... Tak, ale przyjdzie dzień, kiedy zrozumiesz wszystko i kiedy zobaczysz wszystko, czego nie widzisz teraz, gdy patrzysz na to... Wtedy zasmucisz się i nie zapomnisz już

tego, co biedne oczy twoje spostrzegą niebawem... A jednak czyż nie trzeba, abyś ty to widziała nie rozumiejąc, dlatego, aby i inni także tego nie zrozumieli?... Ale wtedy, kiedy urośniesz, nie zdołasz już łez powstrzymać, i to może zaciąży na twojem życiu.. I dlatego to właśnie proszę cię dziś, abyś mi przebaczyła, choć nie pojmujesz, co cierpieć będziesz później, rozumiejąc już aż nazbyt dobrze...

ISSALINA. Trzody powracają już, siostrzyczko...

SELIZETA. I jutro trzody powracać będą tak samo, Issalino.

ISSALINA. Tak, siostrzyczko...

SELIZETA. I jutro ptaszki śpiewać będą także...

ISSALINA. Tak, siostrzyczko...

SELIZETA. I jutro kwiaty także kwitnąć będą...

ISSALINA. Tak, tak, siostrzyczko...

SELIZETA. Dlaczegoż trzeba, aby ta najmłodsza była właśnie...

ISSALINA. Już tylko wązki pasek czerwony widać tam w dole, siostrzyczko...

SELIZETA. Masz rację... czas już... Ty to sama naglisz mnie do tego; i gwiazdy także już się niecierpliwią... Bądź zdrowa, Issalino, jestem bardzo, bardzo szczęśliwą...

ISSALINA. Ja także, siostrzyczko, spiesz się, gwiazdy zaraz powstachną...

SELIZETA. Nie bój się, Issalino, już one mnie nie zobaczą... Wstań, usiądź tu w tym kąciку i pozwól, abym ci mocniej zawiązała piersi moją szarfą, bo wiatr jest bardzo chłodny... Czyś ty mnie kochała prawdziwie? Nie, nie, nie odpowiadaj, ja to wiem, wiem sama... Strącę tu te cztery wielkie kamienie, abyś nie mogła zbliżyć się do tego dużego wyłomu, przez który ja się wychyłam... Gdybyś mnie już nie widziała, nie bój się; widocznie trzeba mi było zejść drugą stroną... Nie czekaj na mnie i zejdź na dół sama, przez kamienne schody... Przedewszystkiem zaś nie zbliżaj się do tego muru, żeby patrzeć co ja zrobiłam... Nie zobaczyłabyś nic i tak już, a nie minęłaby cię kara... Ja czekać cię będę na dole... Ucałuj mnie, Issalino, powiesz babce...

ISSALINA. Co trzeba jej powiedzieć, siostrzyczko?...

SELIZETA. Nie, nic... Zdawało mi się, że czegoś zapomniałam... (Podchodzi do muru zburzonego, od strony morza i przechyla się przez niego). Och! morze zdaje się tak zimne i tak głębokie!...

ISSALINA. Siostrzyczko?

M. Maeterlinck. Aglawena i Selizeta

SELIZETA. Jest ptak, jest, widzę go... Nie ruszaj się...

ISSALINA. Gdzie jest?

SELIZETA. Czekaj... czekaj... Muszę się jeszcze cokolwiek wychylić... Issalino! Issalino!... kamienie się chwieją!... Spadam!... Och!... (Jeden zrąb muru osuwa się. Słysząc łoskot upadku, słaby krzyk trwogi. Potem długa cisza).

ISSALINA, (wstając z płaczem). Siostrzyczko!... siostrzyczko!... Gdzie ty jesteś?... Boję się, siostrzyczko!... (Łka sama na szczycie wieży).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Kurytarz zamkowy. Wehodzią Aglawena i Meleander.

MELEANDER. Zasnęła przed chwilą, ale wszystkie błagania moje nie zdołały wydrzeć lekarzom, co odeszli, ani jednego słowa nadziei... Upadła na stos piasku, który naniósł tam wicher morski dzisiejszego wieczora u samego podnóża wieży, jakgdyby na to, aby jej był miększym podścieliskiem... Tam to znalazły ją służebne, kiedyś ty myślała, że wychodzisz na jej spotkanie, na drogę, idącą od strony wioski... Nie widać żadnej rany, żadnego obrażenia i biedne jej drobne ciało, rzekłbyś, jest nietknięte, ale wąziutka struga krwi ścieka z ust jej bez przerwy; a kiedy otwarła oczy—uśmiechnęła się do mnie w milczeniu...

AGLAWENA. Ale Issalina? Issalina co mówiła? Powiedziano mi, że była tam z nią...

MELEANDER. Wypytywałem ją... Znaleziono ją drżącą z zimna i przestachu, na szczycie wieży... Powtarza z płaczem, że zrab muru otwarł się nagle, kiedy Selizeta przechylała się, aby pochwycić przelatującego ptaka... Kiedym ją spotkał dziś po południu tu w tym kurytarzu, gdzie teraz jesteśmy, — a było to tu, na tem samem miejscu nawet, między temi dwoma filarami—wydawała się mniej smutną, niż zazwyczaj... „Wydawała się mniej smutną niż zazwyczaj!“ Czy słowa te nie potępiają nas oboje!... I teraz wszystko, co nam mówiła i wszystko, co czyniła podnosi się w mej duszy i urasta w potworne podejrzenia, które złamią mi życie!.. Miłość jest równie okrutną jak nienawiść... Nie wierzę już, nie wierzę w nic!... I cała boleść moja przeobraża się w obrzydrzenie!.. Pluję na rozum, który chce być zbyt pięknym... Pluję na los, który nie dopuścić nie chce... Pluję na słowa, które zwodzą w nas zwierza, i pluję na życie które nie słucha życia!..

AGLAWENA. Meleandrze...

MELEANDER. Czego chcesz odemnie?

AGLAWENA. Chodź, chodź... Chciałabym ją zobaczyć, bo to niepodobna... Trzeba wiedzieć... Ona nie uczyniła tego z rozmysłem,

nie uczyniła dobrowolnie. Nie mogła tego uczynić, bo wtedy...

MELEANDER Wtedy co?

AGLAWENA. Trzeba nam koniecznie wiedzieć... Chodź, chodź... Mniejsza z tem jak... Byłaby zbyt wiele cierpiała, aby dojść aż tam!... i nie umiałabym już, i jużbym nie mogła... (Pociąga go z sobą pospiesznie).

SCENA II.

Pokój Selizety. Widać Selizetę, rozciągniętą na łóżku. Wchodzą Aglawena i Meleander.

SELIZETA, (podnosząc się trochę). Czy to ty, Aglaweno? Czy to ty Meleandrze? Czekalam na was oboje, aby móżdż już być szczęśliwą zupełnie...

MELEANDER (rzucając się we łzach na łóżko). Selizeto!...

SELIZETA. Co wam?... Płaczecie i jedno i drugie...

AGLAWENA. Selizeto!.. Selizeto!... Coś ty zrobiła?... Ja jestem nędznicą...

SELIZETA. Co to, Aglaweno?... Czemu się tak niepokoisz... Czy ja zrobiłam coś takiego, co cię czyni nieszczęśliwą?...

AGLAWENA Nie, nie, biedna moja Selizeto:

nie ty to sprowadzasz nieszczęście... To przeciwnie, przezemnie umierają... to ja nie zrobiłam nic z tego, co uczynić należało...

SELIZETA. Nie rozumiem cię Aglaweno... Cóż to się takiego stało?

AGLAWENA. Powinnam była wiedzieć, Selizeto, i zdaje mi się, że wiedziałam nawet wtedy, kiedy to rozmawiałam wówczas z tobą... Od tygodnia przeszło, głos jakiś woła bezustannie w mem sercu, a ja nie wiedziałam co mam czynić, a ja nie znalazłam wówczas, kiedy najprostsze słowo, jakie najprostsza nawet istota mogłaby wypowiedzieć, byłoby ocaliło życie, nie pragnące nic więcej nad to, aby odżyć mogło...

SELIZETA. Ale coś ty wiedziała takiego?

AGLAWENA. Kiedy mówiłaś mi o owej myśli przed kilku dniami, Selizeto... i dziś rano i tego popołudnia jeszcze... powinnam była przycisnąć cię do piersi i nie puścić, dopóki ta myśl twoja nie odpadłaby od nas jak rozgniecione w uścisku grono... Trzeba było zanurzyć obie moje dłonie w twojej duszy, aby poszukać tam tej śmierci, którą odczuwałam... Trzeba było wydrzeć coś z siebie przez miłość... a ja nic nie umiałam uczynić; i patrzyłam nic nie widząc a jednak widząc mimo wszystko!... Ależ ostatnia z dziewcząt tej ubogiej wioski, byłaby znalazła pocałunki, coby ocaliły życie!... Byłam

niewypowiedzianie nikczemną, lub niewypowiedzianie zaślepioną!... I po raz pierwszy może uciekałam jak dziecko przed prawdą!... Nie śmiem już badać siebie... Przebacz mi, Selizeto, bo już nie będę nigdy szczęśliwą...

SELIZETA. Zapewniam cię, że nic nie rozumiem...

AGLAWENA. Nie uciekaj teraz z kolei ty przed prawdą... Widzisz co się staje, kiedy ię nie jest posłusznym temu wszystkiemu co się słyszy w najtajniejszej głębi siebie...

SELIZETA. Cóż więc słyszałaś w najtajniejszej głębi twojej duszy?

AGLAWENA. Słyszałam dniem i nocą, że szukasz śmierci...

SELIZETA. Nie szukałam jej, moja Aglaweno, to ona mnie znalazła, choć ja nie wyszłam na jej spotkanie...

AGLAWENA. Ona miałaby litość dla nas wszystkich; i widzisz dobrze, że nie szukała ciebie, skoro uciekła wówczas nawet, kiedyś ty ją ścigała...

SELIZETA. Nie, nie, moja Aglaweno, ona czeka poprostu tylko na to, abyś ty była szczęśliwszą...

AGLAWENA. Czekać będzie długo, moja biedna Selizeto...

SELIZETA. Słuchaj mnie, Aglaweno, jestem

bardzo rada, żeś przyszła zaraz, bo czuję, że nie pozostanę już długo rozsądną... Jest coś takiego, co mi wzrok mąci cokolwiek... Ale to, co teraz powiem... nie wiem sama co ci powiem... ci, którzy umierają, wiesz to dobrze, miewają dziwne jakieś myśli... Widziałam raz konanie a teraz na mnie przysła kolej... Więc na to, co ci mówić będę za chwilę, nie zwracaj uwagi... Ale teraz wiem jeszcze co mówię: i tego jedynie tylko winnaś słuchać i zapamiętać sobie... zdaje mi się, że masz pewne wątpliwości, Aglaweno?...

AGLAWENA. Jakież mogłabym mieć wątpliwości, moja biedna Selizeto?

SELIZETA. Sądzisz, że...

AGLAWENA. Tak...

SELIZETA. Sądzisz, żem ja spadła dobrowolnie?

AGLAWENA. Jestem tego pewną, Selizeto...

SELIZETA. Powiadają, że w chwili śmierci kłamać nie można, Aglaweno, i dlatego też powiem ci szczerą prawdę...

AGLAWENA. Wiedziałam dobrze, że kochać nas będziesz dotyla, aby mieć odwagę wypowiedzenia jej...

SELIZETA. Spadłam nieumyślnie, Aglaweno moja. — Czy to twoje łkanie, Meleandrze, dochodzi mego ucha?

AGLAWENA. Słuchaj mnie ty teraz, Selizeto...

Wiesz, że my wiemy prawdę... A jeśli cię badam i pytam w tej chwili, to nie dlatego, abym powątpiewała sama; ale chciałabym, abyś ty nie miała już żadnych wątpliwości... Moja biedna Selizeto, kłękam przed tobą, boś tak piękną... Dokonałaś wprost rzeczy piękniejszej, jakiej miłość dokonać jest w stanie, skoro miłość się myli... Ale teraz proszę cię o spełnienie jednej, piękniejszej jeszcze rzeczy, w imię innej znów miłości, tej co się nie myli... Na twoich drobnych usteczkach zawisł teraz głęboki spokój całego naszego życia...

SELIZETA. O jakim spokoju mówisz, Aglaweno?

AGLAWENA. Mówię o spokoju tak smutnym i tak głębokim, Selizeto...

SELIZETA. Jakimże sposobem ja mogłabym zapewnić wam spokój tak głęboki, Aglaweno? Nie widzę nic w sobie, w czembym go poczerpnąć mogła...

AGLAWENA. Trzeba, abyś nam powiedziała poprostu że pragnęłaś umrzeć, aby nam zapewnić szczęście...

SELIZETA. Chciałabym ci to powiedzieć, Aglaweno, ale to niepodobna, bo to nieprawda... Czy sądzisz, że można tak kłamać w godzinę śmierci?...

AGLAWENA. Proszę cię, Selizeto, nie myśl o śmierci... Całując cię tak, oddaję ci całe życie moje, a niepodobieństwem jest umierać, kiedy duch zanurza się tak w techniciach życia!... Boże mój, cóż uczynić trzeba, aby powstrzymać twoje!... zrozumiałabym może jeszcze, gdybyś trwała przy tem kłamstwie wtedy, gdyby śmierć stała u twego łóża... Ale ona daleko jest od nas i życie całe domaga się tu prawdy... Całej prawdy twej miłości tak pięknej niezmiennie, aby cię ukochać więcej jeszcze.. Nie przecz: nie wstrząsaj głową, moja Selizeto droga, bo wiesz dobrze, że się nie mylimy, tak mówiąc z sobą jasno...

SELIZETA. A jednak ty się mylisz, Aglaweno...

AGLAWENA. Będziem więc płakać obie o tyśiące mil jedna od drugiej!...

SELIZETA. Dlaczego nie chcesz uwierzyć, że to prawda?

AGLAWENA. Ależ dlatego, że niema ani jednego słowa, ani jednego faktu, coby nie dowodził czegoś wprost przeciwnego najmniejszemu nawet dziecku...

SELIZETA. Jakież to naprzykład?

AGLAWENA. Dlaczego szłaś żegnać się z babką?

SELIZETA. Ależ ja żegnałam się z nią za-

wsze, ilekroć wychodziłam tylko gdziekolwiek...

AGLAWENA. Dlaczego... Ale po co to wszystko, Selizeto moja!... Czyż to nie nędzne badać tak i rozpytywać, kiedy śmierć zagląda w oczy i kiedy się wie dobrze, że jedyna prawda jest tu, pod ręką, o kilka cali zaledwie od serca!...

SELIZETA. Roilałam, że jestem szczęśliwą, a ty znowu mnie zasmucisz, jeśli będziesz wątpić, Aglaweno... Co ja mam zrobić, abyś uwierzyła mi wreszcie?...

AGLAWENA. Niema jak prawda, Selizeto!...

SELIZETA. Jakiejże prawdy domagasz się Aglaweno?...

AGLAWENA. To ja popchnęłam cię do tego bezwiednie...

SELIZETA. Nie, nie, Aglaweno moja, nikt mnie do tego nie popychał...

AGLAWENA. Wystarczy jedno słowo, aby rozjaśnić życie i błagam cię na kolanach o to jedno drobne słówko... powiedz mi je, pocichutku, jeśli chcesz, daj znak oczyma; a sam Meleander nawet nigdy o niem wiedzieć nie będzie...

MELEANDER. Aglawena ma słuszość, Selizeto... i ja cię błagam o to...

SELIZETA. Spadłam, wychyliwszy się zbyt...

AGLAWENA. Tak często pytałaś mnie, co-
bym ja zrobiła na twojem miejscu...

SELIZETA. Spadłam, przechyliwszy się zbyt-
tecznie...

AGLAWENA. Nie wiesz dlaczego tak cię py-
tam o to?...

SELIZETA. Owszem, owszem, moja Aglawe-
no i widzę dobrze, że tak byłoby to piękniej-
szem daleko nawet; ale to nie byłaby pra-
wda...

AGLAWENA, (łkając). Jakimże się jest
biednym, o, mój Boże! wobec tych co ko-
chają z taką prostotą!...

SELIZETA. Aglaweno!...

AGLAWENA. Selizeto!... Co to jest?... ty ble-
dniesz... czy cierpisz teraz więcej?...

SELIZETA. Nie... cierpię z radości... och!
jak ty płaczesz, Meleandrze...

MELEANDER. Selizeto!...

SELIZETA. Nie płacz tak okropnie, biedny
mój Meleandrze... Teraz dopiero się kocha-
my... Niema nad czem łez wylewać... Zoba-
czysz niebawem, jak się uśmiechać będę do
was po śmierci... nie będziesz wierzyć, że
umarła, tak twarz moja promienieć będzie
szczęściem... A kiedy się uśmiecha wówczas,
to dlatego, że się jest szczęśliwym do głębi...
bo nie pojmuję, abym ja, taka mała, miała
tak wielkie niebo w sercu; i chwilami lękam

się, że odejdę z całym tem szczęściem... Co?
i ty płaczesz także, Aglaweno? Więc to nie
takie szczęście?...

AGLAWENA. Daj nam ten spokój głęboki,
Selizeto...

SELIZETA. Oddam ci ten spokój, którym
ty mnie obdarzyłaś, Aglaweno...

AGLAWENA. Mogłabyś dać mi, a przecież
nie dajesz...

SELIZETA. Ten, jaki jest we mnie, jest je-
dnak tak wielkim, Aglaweno...

AGLAWENA, (łkając). Bóg sam nie miał-
by słuszości wobec ciebie, Selizeto...

SELIZETA, (głosem zmienionym). Ale dlacze-
go odchodzisz, mówiła mi babka moja; ale
dlaczego odchodzisz, dziecko? — To dlatego,
żem klucz znalazła, babko, dlatego, że
klucz odnalazła...

AGLAWENA. Selizeto!...

SELIZETA, (przychodząc napowrót do przy-
tomności). Issalino?... co ja mówiłam?... po-
wiedz mi co ja mówiłam... to nie prawda...
uprzedzałam cię...

AGLAWENA. Nie, nic nie powiedziałaś, moja
biedna Selizeto...

SELIZETA. Ostrzegałam cię... wszystko co
powiem, może już teraz, za chwilę, nie bę-
dzie prawdą... Trzeba mi wybaczyć, bo du-
sza moja słabnie... Czy mówiłam o babce?

AGLAWENA. Tak...

SELIZETA. Tak, chciałam ci powiedzieć... Trzeba ją podnosić nie dotykając rąk jej nigdy... chciałam cię nauczyć jak się z nią obchodzić, a potem, potem już nie było czasu... Och! ostrożnie, Aglaweno!...

AGLAWENA, (prerażona). Co tobie? co tobie, Selizeto?...

SELIZETA. Nic, nic, to mija... myślałam, że nie powiem już prawdy...

AGLAWENA. Nie będę już o nią pytać, Selizeto...

SELIZETA. Połóż mi dłoń na ustach, Aglaweno, skoro już nie będę mówić prawdy... przysięż mi, przysięż to, błagam cię...

AGLAWENA. Przysięgam ci, Selizeto...

SELIZETA (do Meleandra). Mam jej coś powiedzieć, Meleandrze... (Meleander oddala się w milczeniu). On smutny, taki smutny... Powiesz mu z czasem, kiedyś tam, później, kiedy już przyjdzie zapomnienie... połóż mi dłoń na ustach, Aglaweno, nagle okropnych doznaję bólei...

AGLAWENA. Powiedz mi to, powiedz, Selizeto...

SELIZETA. Zapomniałam wszystko, co trzeba było powiedzieć... nie prawda to, ale kłamstwo przychodziło mi na usta... Połóż dłoń twą na moich oczach równocześnie,

aglaweno... trzeba, abyś je zamknęła tak, jak je otwierałaś.. To prawda, to prawda...

AGLAWENA Selizeto?...

SELIZETA, (bardzo słabym głosem). Ja... ja padłam, przechyliwszy się... (Umiera).

AGLAWENA, (przywołując wśród łkania). Meleandrze...

MELEANDER, (upada z łkaniem na ciało Selizety). Selizeto!...

KONIEC.



24190

